

skutkami. Wszystkie wymienione triki, oprócz ostatniego stosowano na ogół na kilka dni przed stawieniem się na komisji poborowej. Czasem chwytaly one, w większości wypadków jednak nie i do woja trzeba było zasuwać.

Na ten temat krążył następujący dowcip: na dziedzińcu przed domem gdzie urzędowała komisja poborowa, delikwenci kręcili się zdenerwowani czekając na swoją kolej. Każdego wychodzącego indagowali - nuu, co ci dali ? (Istniały podobno kategorie literowe - A,B,C, i D. Co one oznaczały, dokładnie nie wiem. Z tego co zapamiętałem, to "A" - znaczyło zdolny, "B" - zdolny, ale nie do służby liniowej, "C" - nie zdolny, ale powołać go można do jakiejś popzawoskowej służby pomocniczej, "D" - do dupy). Ten zapytany z radością odpowiada: "D" ! Uuu.. jaki szczęściaż, i coś ty robił ? Ten odpowiada: nic specjalnego, tylko dziesięć razy biegałem dookoła tego budynku odmawiając modlitwę i wtedy, mocno zasapany i spocony od razu wszedłem do środka, no i dali to co dali - "D". Ten pytający zaczął swój bieg, nie dziesięć tylko dwadzieścia razy dla większej pewności, Żarliwie się modląc i wtedy zasapany z potem zalewającym mu oczy - wszedł do środka i wkrótce wyszedł, tylko nie z "D" a z "A". Zawiedziony zwraca się do tego szczęściarza z "D": i co warta jest ta Twoja rada ? Wszystko co ty robieś, ja robiłem podwójnie i mimo to dali mi "A". Wtedy ten z "D" mówi: no tak, ale do tego wszystkiego co ja robiłem trzeba jeszcze mieć przepuklinę, a czy ty ją masz ? Nie, więc o co ci chodzi ?

To niespanie w nocy przed poborem miało też swój urok. Chodzenie całą grupą, głośne śpiewanie, picie piwa i mocnej kawy, a przede wszystkim robienie kawałów pogrążonym w głębokim śnie mieszkańcom. Do rutyny należało zamienianie szyldów, podstawianie miednic z wodą u wyjścia z mieszkania, wypisywanie powołań do różnego rodzaju nielubianych urzędów, urządzenie serenad pod oknami miejscowych panienek, naśladowanie głosów kotów i wiele jeszcze innych figlów. Ludzie, o Żydów chodzi, przyjmowali to z pobłażaniem: niech się młodzież wyszumi, nie wiadomo co ich jeszcze czeka, może im to w czymś pomoże. Policja w takich sprawach nie interweniowała. Czy tego rodzaju triki były stosowane w sektorze nie-żydowskim ? Nie wiem, nie przychodziło mi się o tym słyszeć.

Każda z grup narodowościowych miała swoją motywację. Żydzi, jak Żydzi, oprócz tych zasymilowanych, z Państwem Polskim nie za wiele się utożsamiali. Słyszeli o tym ostrym reżimie w wojsku i brali sobie to wszystko głęboko do serca. Poza tym, nie poślednią rzeczą była sprawa tzw. "parnusy" czyli zarobku na utrzymanie domu. Wielu z tych potencjalnych rekrutów było jedynymi żywicielami którzy utrzymywali starych rodziców i w ogóle rodzinę. Niemniej istotną była sprawa pracy. Bo jaki pracodawca zechciałby się zobowiązać, że po wojsku przyjmie z powrotem do pracy?

Zupełnie innymi przesłankami kierowali się Ukraińcy. Dla nich to wszystko było nie tylko obce, ale i nienawistne. W większości ślepo nienawidzili Polskę i Polaków, czemu dali wyraz w 1939-ym roku, po napaści Niemców na Polskę. Ponadto, dobrze zdawali sobie sprawę czego mogą oczekiwać w wojsku od kaprali-lachów (Polaków).

W 1936-ym (?) roku zmarł Marszałek Józef Piłsudski - w dzieciństwie Ziuk, w narodzie Dziadek, więzień Szliselburga, Komendant, założyciel Legionów, twórca niepodległego Państwa Polskiego i pogromca bolszewickich hord nad Wisłą w 1920-ym roku (przez naród uznawanego jako Cud nad Wisłą). Pochodził z Wileńszczyzny, być może z tych samych okolic co Feliks Dzierżyński (żelazny, a raczej krwawy Feliks). Nie wiele o Piłsudskim w owym czasie wiedziałem. Niesłusznym byłoby porównywanie tych dwoje ludzi. Ten drugi, Feliks był nieprzejednanym wrogiem Polski, a więc tym samym i jego narodu.

Wielka, ogólnonarodowa żałoba zapanowała w całym Państwie Polskim. Jak przyjęty tą śmierć różne warstwy mieszkańców ówczesnej Polski ? Jeżeli chodzi o Polaków, to wiadomo. Naród Polski w swojej większości szanował go i chyba na swój sposób, kochał; nie mówi się o tej nielicznej, zaprzędanej komiternowsko-sowieckiej garstki. Bo inaczej tego, według obecnych, dzisiejszych kryteriów nie można określić.

O Ukraińcach mówić nie ma co - radość i oczekiwanie zbawienia; jakiego i skąd ? Sami dobrze nie wiedzieli. Ze wschodu czy z zachodu ? Jeśli chodzi o społeczność żydowską w olsce, uczucia były raczej mieszane. Ta zasymilowana, tzw. państwowo-twórcza warstwa, przyjęła to ze smutkiem i żalem, niemalże w takim samym stopniu jak większość Polaków. Koła rabinackie, ortodoksyjne z umiarkowanym i kontrolowanym smutkiem (jeśli tego rodzaju pojęcie istnieje). Ci ludzie zawsze uważali, że Piłsudski przychylnie się ustosunkowywał do Żydów, opierając się na galutowych (galut-diaspora) pojęciach, że ten Goj (goj- nie Żyd) był dobry dla Żydów, i jeden Bóg wie jakim będzie ten co po nim nastanie. Syjonistyczne słoje były raczej obojętne – nie nasz koń, nie nasz wóz – a więc i nie nasza sprawa; niech się Polacy martwią. Komuniści żydowscy wyrażali nieukrywaną radość - nareszcie ten dyktator, faszysta, progermański watażka, kolega Hitlera poszedł, wyniósł się na zawsze. Tak więc, według nich, jeszcze jedna przeszkoda do przyszłej Polski, Polski socjalistycznej, Polski równości i sprawiedliwości społecznej naprawdę niepodległej - została usunięta. Ta nowa Polska będzie jednakową matką dla wszystkich jej mieszkańców, wszystkich jej dzieci, równą dla wszystkich jednakowo - Polaków, Żydów, Ukraińców.

Jaką faktycznie była ta Polska po II-iej wojnie światowej, wszyscy ci naiwni i niepoprawni wierzycciele mogli się przekonać i to w krótkce, bo po niecałych 5-ciu latach.

Wszystkim dzieciom w szkołach nakazano przyjść z czarnymi, żałobnymi opaskami na rękawach. Na lekcjach nauczyciele dużo mówili o Zmarłym. Niektóre nauczycielki nie tajiły łez. Że to trochę przypominało późniejsze czasy lat pięćdziesiątych kiedy zmarł słońeczko ludzkości, wódz, nauczyciel i wielki przyjaciel narodu polskiego (?), a parę lat później jego polski sługa i namiestnik ? Trochę niby tak, ale faktycznie to nie tak. Te późniejsze łzy i biadolenia były wymuszone i fałszywe, obserwowane i zapisywane kto, jak reagował.

Te w 1936-ym roku były jednak szczerze i niewymuszone. Ten polski naród, w swojej większości. widocznie kochał swojego Marszałka. W krótkim czasie po tym w szkołach portrety Piłsudskiego zostały zastąpione portretami nowego wodza, Edwarda Rydza Śmigłego. Pierwsze dziecięce wrażenia były, że poprzedni wódz w żołnierskim mundurze był z włosami na głowie, krzaczastymi brwiami i gęstymi wąsami, zaś nowy, również w wojskowym mundurze, ale już tysy i bez wąsów. Czy aby pasowały na niego buty jego poprzednika ? To się dopiero później miało okazać.

Pojawiły się pierwsze, chociaż jeszcze ukryte powiewy wojny. Żądania niemieckie były coraz większe, bardziej natarczywe i agresywne - Gdańsk, znacznie poszerzone Prusy Wschodnie, korytarz i jeszcze coś, czego nie pamiętam. Jednym słowem, Hitler zaczynał wprowadzać w życie

to co obiecał Niemcom i napisał w swoim "Mein Kampf". (A propos, mam na go na mojej półce z książkami i od czasu do czasu do niego zaglądam).

Nie pamiętam w jaki sposób i kiedy u nas w domu pojawiła się "Brunatna księga" grube tomisko wydane w Paryżu przez Międzynarodowy Komitet dla Zwalczenia Hitleryzmu (w polskim tłumaczeniu). Później, w 39-tym roku, przed wkroczeniem Niemców miałem kłopot co z tym zrobić. W narodzie krążyła gadka, że Hitler jakoby miał respekt dla Piłsudskiego i dlatego wojny w końcu nie będzie. Naiwny był ten naród i chyba ci, którzy nim rządzą.

W 1938-ym roku wystąpiłem ze Szomru, ponoć z pobudek ideologicznych (u takiego 14-to letniego szkraba jak ja, pobudki ideologiczne ? Pożal się Boże) I wstąpiłem razem z innymi chłopakami do organizacji Cukunft (Przyszłość), młodzieżowej przybudówki Bundu. Tam już było zupełnie inaczej. Nie ci ludzie i nie ta atmosfera. W Szomrze pozostali moi koledzy – Majer, Chemciu i Lonek. Nasza przyjaźń w tym okresie rozluźniła się ale nie zerwała. W tej nowej organizacji ja byłem najmłodszy wiekiem. Przeważali robociarze i subiekci sklepowi. Tam już palono papierosy. Tańców i śpiewania nie było. Tworzyły się pary - chłopcy chodzili z dziewczętami. Bojowość stała dużo wyżej. Bejtarczyków się nie bano, a raczej odwrotnie – to oni się bali. Jednym słowem "klasa robotnicza" tzn. my, była górą.

Organizacją kierował C.F., dobrze zarabiający zecer (drukarz) w drukarni Werdingiera. Już przed tym wspomniałem, że organizacja ta ulegała wpływom komunistycznym wywieranych przez większość jej kierownictwa pomimo, że partia komunistyczna decyzją komiternu w Moskwie została rozwiązana i całe jej kierownictwo znajdujące się w Moskwie rozstrzelane pod fałszywymi zarzutami prowokatorstwa i współpracy z drugim oddziałem (tzw. dwójka) polskiego sztabu generalnego. Wszystko to i wiele jeszcze innych niebylic w stosunku do Węgrów, Czechów, Rumunów, Niemców rodziło się w chorej, paranoicznej wyobraźni genialnego wodza międzynarodowego proletariatu J.W. Stalina. Całą tą niecną robotę w praktyce realizował z ramienia Komiternu, przywódca Włoskiej Partii Komunistycznej, Palmiro Togliatti. Stale rezydował w Moskwie, nieosiągalny dla swojego, ojczyźnianego siepacza, Benito Mussoliniego.

Te “ wielkie “ sprawy w jakimś stopniu rzutowały na mały Drohobycz. O takiej sprawie chcę opowiedzieć. Mój najstarszy brat, Szlomu, miał serdecznego i bliskiego przyjaciela, Abego Szwarca, brata mojego majstra od Russa, Moszka Szwarca. Obaj, mój brat i Abe, byli kiedyś w jednej, nielegalnej komórce partyjnej. Już przed tym wspomniałem, że partia w ogólności, a w tym również i w naszym mieście była spenetrowana albo przez nasyłane wtyczki, albo też przez własnych towarzyszy którzy w takich czy innych okolicznościach załamywali się w czasie śledztwa i godzili się na współpracę z policją. Były też wypadki “ kapusiowania “ za pieniądze; (policja podobno nieźle płaciła).

Pewnego dnia gruchnęła wieść, że Aby jest prowokatorem. Poszło to stąd, że po rozwiązaniu polskiej partii jej archiwum zostało przewiezione do Czechosłowacji gdzie tamtejsza partia była legalna. Figurowało ono tam jako Archiwum Cechnowskiego (?). Tamtejsza policja wpadła na trop tego archiwum i gotowa była przekazać go polskim kolegom. Ci wysłali swego przedstawiciela do Czech, i w ten sposób archiwum to wróciło do Polski. Podobno w nim była wzmianka że Adam Borski (pseudonim partyjny Abego), znany na terenie Drohobycza i Borysławia, zdemaskowany jako prowokator. Mogła to być zręcznie uknuta intryga przez polską defę (defensywę) mającą na celu krycie rzeczywistych prowokatorów. Tak, czy inaczej, policja skwapliwie rozgłosiła ten zapis. W Drohobyczu zawrzało. Ogłoszono natychmiastowy bojkot absolutny z zerwaniem wszelkich kontaktów, w tym też towarzyskich. Mój brat od pierwszej chwili twierdził, że to nieprawda i nieugięcie stał na tym stanowisku. (Po wielu latach, po wojnie okazało się, że to właśnie on, mój brat, miał rację. Rzeczywistym prowokatorem był niejaki I.S. , który zginął w Rosji podczas wojny). Partia wydała na Abego wyrok śmierci. On uciekł do Lwowa i próbował się ukryć. Posłano za nim drohobyckiego gościa ze spluwą. Ten go odkrył, strzelał do niego i spudłował. Widocznie musiał być słabym strzelcem.

Aby wrócił do Drohobycza. Z domu nie wychodził, a jeżeli wychodził, to rzadko i z obstawą swojego brata, albo kogoś innego z rodziny; widocznie musieli mieć spluwę i to z zezwolenia policji; tak tylko przypuszczam i nie jestem tego pewny.

Aby, oprócz tego wszystkiego, przeżył jeszcze inną, osobistą tragedię. Jego wielką miłością była siostra mojej bratowej, Betka. Również ona przyłączyła się do bojkotu i to ją mentalnie złamało. Dostała pomieszania zmysłów, była na leczeniu w szpitalu psychiatrycznym i po wyjściu zesłała się z jednym naszym znajomym; urodziło im się dziecko. W krótkim czasie po tym nastąpił nawrót choroby i Betka zmarła. Dzieckiem zajęli się jej starzy rodzice.

Policja, mimo wszystko chciała Abego dopaść i ukarać. Niedługo potem został aresztowany wraz z całą grupą dawnych działaczy, chociaż partii już wtedy nie było. Zrobiono im proces i zdaje się, że jeden tylko Aby zafasował 8-io letni wyrok. Sąd nastawał na to ażeby on potępił partię która wtedy już nie istniała. Po co to, komu i na co było potrzebne ? Sąd chciał, ale on nie chciał i dlatego mu dano te 8-iem lat. W uzasadnieniu wyroku było, że za długoletnią działalność komunistyczną i za nieprzejednaną postawę wobec sądu.

Karę odbywał w jednym z najcięższych więzień przedwojennej Polski, w Świętym Krzyżu, byłym klasztorze o grubych i wilgotnych murach. Początkowo dzielił celę z innymi więźniami politycznymi odsiadującymi wieloletnie wyroki. Już w samym więzieniu, i to bojkot był kontynuowany. Zamieniano z nim bardzo niewiele słów w ciągu dnia i to tylko za

pośrednictwem jednego i tego samego człowieka. Trudno sobie wyobrazić tortury moralne jakie ten człowiek przeżywał; i to jeszcze za niepopelnione winy. Współwięźniowie uważali umieszczenie go w jednej z nimi celi za dalszy ciąg prowokacji. Pewnego dnia ten współwięzień - łącznik zakomunikował mu, że komuna więzienna postanowiła, że ma on zwrócić się do administracji więzienia z żądaniem ażeby go przeniesła do celi z więźniami pospolitymi; jako motyw miał podać, że z politycznymi nie ma nic wspólnego. On się temu postanowieniu podporządkował i zażądał przeniesienia. Jak administracja postąpiła – nie wiem. Fanatyzm, jak wszelkie inne fanatyzmy, włączając w to ideologiczny i religijny, bywają nieraz bardzo okrutne i bez granic.

W międzyczasie wybuchła wojna 39-go roku. Administracja więzienia uciekła, więźniowie wyszli na wolność - każdy dokąd chciał. Aby zwrócić się do jednego z politycznych, później po wojnie, ważnej osobistości w Polsce Ludowej, że on Aby, ma teraz możliwość całą sprawę zakończyć, przedostać się na Węgry albo do jakiegoś innego kraju, zmienić nazwisko i próbować rozpocząć nowe życie. On jednak nie takiego rozwiązania szuka i w przekonaniu o swojej niewinności chce awoją sprawę wznowić, aż do pełnego jej wyjaśnienia. On, Aby, wie że więźniowie polityczni próbowali przedostać się na tereny zajmowane przez armię sowiecką i dlatego prosi ażeby pozwolili mu iść z nimi. Po naradzeniu się z innymi, wyrazili na to zgodę. Dalszą część tej jak dotąd tragicznej historii spróbuję kontynuować, ale już w okresie dotyczącym wydarzeń po 1939-ym roku.

Wracając do lat po śmierci Piłsudskiego i przed napadem Hitlera na Polskę, lata te nie należy zaliczyć do lat przychylnych zarówno w sensie politycznym jak i ekonomicznym. Krzywa bezrobocia pięta się w górę. Nowych miejsc pracy dla dorastającej młodzieży wchodzącej do wieku produkcyjnego, nie przybywało. Chciała się ta młodzież usamodzielnic i zakładać swoje ogniska rodzinne. Nastąpiły ciężkie czasy. Ze strony władz nie można było się dopatrzeć jakichś efektywnych kroków w kierunku poprawienia sytuacji. Ludzi, a szczególnie tych przeciętnych zjadaczy chleba, gnębił strach przed zbliżającym się kryzysem ekonomicznym, a jeszcze więcej – przed wojną.

Dawało się też odczuć pewne polityczne zaciskanie pasa. W prasie pojawiały się coraz częściej białe plamy, ślady ołówka i nożyc cenzora. Gazet wydawano wprawdzie wiele, ale liczba kupujących się kurczyła. Nie wszyscy mogli sobie pozwolić na kupno gazety, ażeby ją przeczytać spokojnie w domu. Sklepy sprzedające gazety wystawiały na zewnątrz strony tytułowe tych bardziej chodliwych gazet i ludzie mogli się przynajmniej przyjrzeć nagłówek najważniejszych wydarzeń.

Najważniejszymi sprzedawcami gazet były sklepy Tannego i Tunego w Rynku oraz sklep Leibenderfera/Margulisa na ulicy Piłsudskiego. Nota bene, w sklepie Leibenderfera pracowała moja przyszła szwagierka, Nuna Weiler; drugą sprzedawczynią była Helerówna. Obie urocze i przystojne młode kobiety. W samym Rynku, w jednej z sien urządził stoisko z gazetami taki młody człowiek, "uchodźca" z religijnej szkoły, tzw. jesziwy. Przez pewien czas studiował on Torę i święte księgi. Przy tym wszystkim zaczął się poza Biblią interesować doczesną, niereligijną polityką i "zezować" coraz bardziej na lewo. Coraz częściej indagował swoich religijnych nauczycieli różnymi, nie religijnymi pytaniami. Religijnemu kierownictwu przestało się to podobać i pewnego dnia powiedzieli mu ażeby sobie poszedł i więcej nie wracał. Po prostu wyrzucili go. Widocznie już wtedy musiał mieć kontakty z "nielegalnymi". Z jesziwy wyszedł jeszcze w "rytualnej" kapocie, bo na sprawienie świeckiego ubrania nie miał pieniędzy. Dla rodziny to musiał być bolesny cios, bo na pewno pokładali w nim duże nadzieje jako na przyszłym rabinie. Zdaje się, że później na czymś wsiąkł i trochę siedział, bo w Drohobyczu się pojawił bardzo zmizerowany i wciąż w tej kapocie, i urządził sobie stoisko w sieni. Dużo czasu spędzał na dysputach z ludźmi którzy do niego przychodzili nie tyle po kupno gazety ile przeglądać te tytuły i właśnie podyskutować na temat niedoskonałości tego świata. Czasem pozwalał gazetę otworzyć, przejrzeć i tylko prosił żeby ją potem skrupulatnie złożyć. Czy z tego mógł żyć? Widocznie jakoś wegetował.

Zapomniałem niektóre tytuły ówczesnych gazet sprzedawanych w Drohobyczu. W naszym mieście żadnych gazet codziennych nie wydawano, oprócz dwutygodnika czy też miesięcznika "Przegląd Podkarpacia", o czym już wspominałem. Oto niektóre tytuły tych gazet: "I.K.C." "Tempo Dnia", "Gazeta Polska", "Rzeczpospolita", "Wiek Nowy", "Chwila", "Dziennik Popularny", "Mały Dziennik", ukraińskie "Diło", żydowski "Hantł".

Najbardziej poczytną gazetą w tzw. warstwach średnich był "Wiek Nowy". Codziennie po południu, już ku wieczorowi przywożono go ze Lwowa. Pan Margulies odbierał go na stacji kolejowej. Gdy dorożka dojeżdżała już do sądów na ulicy Stryjskiej, falanga gazeciarzy, wszystko młode chłopaki w biegu odbierała swój plik, przyspieszała bieg do Rynku ażeby być pierwszymi, bo niektórzy klienci już czekali i brali u tego kto był pierwszy; każdy trzymał w pogotowiu 20 groszy. Zaraz potem dostawali "Chwilę", i wtedy już dobiegał krzyk "Wiek Nowy" !, "Chwila" ! "Chwila" była gazetą na poziomie. W dużej mierze poruszała problemy żydowskie. Chyba cała inteligencja żydowska czytywała "Chwilę". "Gazeta Polska" była poważną, pro-rządową czytana na równi z "Rzeczpospolitą" w kołach inteligencji polskiej. "Dziennik Popularny" był też gazetą na poziomie, o orientacji lewicowej jednolitifrontowej; redaktorami tej gazety, o ile pamiętam byli Stanisław Dubois i Norbert Balicki. Udzielała się w niej też Wanda Wasilewska. Czytelnikami tej gazety o inklinacji lewicowej były sfery inteligentne polskie i żydowskie. Niedługo przed 39-ym rokiem Dziennik Popularny został zamknięty. "Diło" czytała średnia klasa inteligencji ukraińskiej. "Hantł" wydawany w języku żydowskim miał wzięcie w kołach bogatych i średniej klasy Żydów którzy nie tak dobrze władali językiem polskim. "Tempo Dnia" i "Mały Dziennik" uchodziły za brukowce o zabarwieniu antysemickim. "I.K.C." (Ilustrowany Kurier Codzienny) wydawany w Krakowie, był w całej Polsce bardzo poczytną gazetą zaspokajającą potrzeby klas średnich.

Stosunkowo dużo miejsca w Polskiej prasie zajmowała wojna domowa w Hiszpanii. Generał Franko miał wzięcie w dużej części prasy polskiej. Niektóre koła dziennikarskie piły z zachwytem na jego cześć. W brygadach międzynarodowych, po stronie legalnego rządu republikańskiego walczyło wielu Polaków i Żydów z Polski, w tym niektórzy drohobyczanie. Jeden z nich pozostawił tam nogę amputowaną aż do biodra. Znałem go osobiście. W ramach tych brygad był wydzielony polski batalion imieniem Jarosława Dąbrowskiego i żydowska kompania nosząca imię Naftaliego Botwina. Naftali Botwin był polskim komunistą, czeladnikiem szewskim, który podjął się wykonać wyrok swojej partii na prowokatorze Cechnowskim (?) koronnym świadkiem w wielkim procesie komunistycznym. Kilku porzednikom Botwina to się nie udało. Widocznie oni również byli słabymi strzelcami tak jak ten co strzelał do Abego Szwarca. Botwinowi to się jednak udało; musiał mieć dobre, szewskie oko. Dane mu zadanie wykonał i to na schodach u wejścia do sądu. Pochwycono go. Odbył się sąd i skazano go na karę śmierci przez powieszenie. Wyrok został wykonany. Sprawiedliwości stało się zadość. Ile miał wtedy lat ? Może i niecałych 20.

Niecną, zdradziecką robotę w brygadach międzynarodowych prowadziła sowiecka N.K.W.D. Nikt im w tym nawet nie próbował przeszkadzać. Po the hiszpańskiej wojnie pisano o tym wiele w różnych wydawnictwach na zachodzie. Arena hiszpańska posłużyła tym łotrom spod ciemnej gwiazdy na wyławianie i unicestwianie zarówno rzeczywistych jak i rzekomych trockistów z oddaniem walczących po stronie Republiki. Leaderami brygad międzynarodowych byli m.in. Luigi Longo komunistą włoski i Andre Marty komunistą francuski. Ten ostatni, później rozczarowany, odstąpił od komunizmu. Innym, wybitnym wojskowym dowódcą brygad był sowiecki a później polski generał, Karol Świerczewski; jego hiszpański pseudonim był "Walter". Przy nim pozostał po wojnie – do samej śmierci. O nim to mówiono, że się kulom nie kłaniał. Lecz wtedy to były kule faszystowskie – w Hiszpanii a potem w Niemczech, podczas II-iej wojny światowej.

Generał Walter zginął po wojnie, w Bieszczadach, w czasie akcji przeciwko ukraińskim banderowcom. Tak przynajmniej głosiła oficjalna wersja. Niektórzy z bardziej wtajemniczonych byli zdania, że to nie banderowska kula go dopadła, że podobno strzał był nie z

przodu, a z tyłu, a przecież do tyłu kłaniać się nie można. Sowieckie, bolszewickie kule nie pudłowały; zawsze były celne. Widocznie stał się niewygodnym swoim moskiewskim mocodawcom, tak zresztą, jak wielu innych dąbrowszczaków i bojowników hiszpańskich. Ten strzelec musiał być wypróbowanym strzelcem i to w polskim mundurze. W “nagrode” sam na pewno dostał kulę od innego swojego kolegi, bo tacy świadkowie są pewni tylko wtedy gdy pokrywa ich 2-u metrowy słój ziemi.

Po tej nieco przydługiej dygresji, chcę wrócić do okresu sprzed 39-go roku. Sytuacja stawała się coraz bardziej “szpiczasta”. Monachium, Anshlus i Sudety powinny były zapalić czerwone światło u czynników odpowiedzialnych za Państwo Polskie. Kto tam wie ? Może i się zatliło, tylko niezbyt jarkim światłem i potem szybko gasło. Zajęcie Sudetów przez Niemców rzucenie, Polsce brudnego ochłapu w postaci Zaolzia, nie było należycie zrozumiane. Radio się darło na całe gardło: wodzu prowadź nas na Czechy ! Bij Czechów ! itd. itp.

Hitler był chytry; chciał uśpić czujność Polaków sprawą Zaolzia. Czy mu się to udało ? W jakiejś mierze – chyba tak.

## **NAPAŚĆ NIEMCÓW NA POLSKĘ, KLĘSKA WRZEŚNIOWA -1939 ROK**

I nagle (czyżby ?) to wszystko wybuchło. Doskonale pamiętam ten 1-szy wrzesień 1939-ego roku. Był piątek. Pięćdziesiąt siedem lat temu.

Dzień ten był poprzedzony perfidną prowokacją rzekomego napadu na radiostację gliwicką przez żołnierzy niemieckich przebranych w polskie mundury, uzbrojonych w polską broń. Faktycznie byli to więźniowie obozu koncentracyjnego Dachau, którym obiecano wolność. Wszystkich, co do jednego rozstrzelano i to na miejscu, sfotografowano i fotografie przekazano prasie zagranicznej jako “niezbity dowód polskiej agresji”. Świadców się nie lubi, a szczególnie tego rodzaju i co się z nimi robi - opowiedziałem w poprzednim rozdziale. Całą tą operację zaplanował i pilotował od początku do końca mistrz prowokacji Reinhard Tristan Eugen Heydrich. Aż tyle imion miał ten bandyta, potwór w ludzkiej skórze. Kto u niego się uczył i kto komu udzielał lekcji ?

Ich nauczyciele mieli za sobą 16-to letnie w tym względzie doświadczenie; ich niemieccy uczniowie istnieli tylko 6 lat, a więc wiadomo. Młodszy zawsze się uczy od starszych. W tym wypadku ci młodszy byli pilnymi i pojętymi uczniami, a ci starszy zaś rutynowanymi nauczycielami z bogatym doświadczeniem praktycznym.

Pamiętam mowę Mołotowa, tego którego Stalin nazywał “kamiennym zadkiem” i te obraźliwe słowa pod adresem narodu polskiego: “ten bękart wersalski przestał istnieć”. I jeszcze ten obłudny, kłamliwy pakt między dwoma wilkami, noszący jego imię na równi z imieniem handlarza win, z tą tylko różnicą, że tego handlarza win powiesili w Norymberdze, a ten pierwszy dożył prawie 100 lat i umarł naturalną śmiercią, we własnym łóżku. Takiego paktu, gangsterzy między sobą by się nie powstydzili.

Ludzie byli przerażeni. Zaczęli się runąć na sklepy, które rychło opustoszały. Bo kupcy nie frajerzy. Nie wszystko wystawili na sprzedaż. Pokazną część towaru pochowali - na ciężkie czasy.

Niemcy napierali, bo cała ta wojna miała być “blitz”. I rzeczywiście był. Żołnierze w bezładzie, opuszczeni, niezmiernie smutni, głodni i spragnieni, szukający z desperacją jakichkolwiek środków lokomocji aby jak najdalej i jak najszybciej uciekać na wschód – byle dalej od Niemców.

W pobliżu naszego domu był sklep sportowy “Kosmos” ze zmontowanymi już rowerami jak również z częściami z których można było montować nowe rowery. Te gotowe rowery błyskawicznie zostały rozchwyte przez szczęśliwców. Inni żołnierze przytaszczyli na nasze podwórko te luźne części i my, dzieci pomagaliśmy im w montowaniu. Wiele części pozostało i każdy brał sobie co popadło. Mnie dostała się rama roweru, bez kół. Przytaszczyłem ją do naszej spiżarni. Nigdy potem nie udało mi się zmontować gotowego roweru. Brak było części.

Wielki rozgardiasz zapanował w mieście. Ludzie byli w panice. Na twarzach większości mieszkańców malował się wielki smutek. Co będzie dalej ? Byli też tacy co się cieszyli i radości wcale nie ukrywali; to byli miejscowi Ukraińcy. Oni na tę chwilę dawno czekali.

Niektórzy z żydowskich mieszkańców, szczególnie młodzi, uciekali – byle dalej, na wschód. Między innymi mój brat, Szymon, z kolegą na jednym rowerze. Po kilku dniach wrócili i to bez roweru. Odebrali im ukraińscy chłopcy oczekujący na tego rodzaju okazje. Brali oni rewanż za te poprzednie lata. Szczególnie okrutni byli w stosunku do żołnierzy - Polaków. Już w pierwszych dniach po rozpoczęciu wojny wrócił z Krakowa mój brat Fredek z żoną. Mama oddała im nasz trzeci pokój z oddzielnym wejściem od sieni.

Rafinerię Polmin Niemcy zbombardowali już w pierwszych dniach wojny. Nocami ogień świecił się jarkim światłem docierającym aż do miasta. Żydowskie mieszkańcy z przerażeniem oczekiwali wejścia Niemców. Polscy mieszkańcy nie wychodzili z domów. Jedni i drudzy obawiali się Ukraińców. W końcu nastał ten straszny dzień. Pojawił się pierwszy patrol niemiecki a za nim wkroczyły wojska. Wypasieni, dobrze ubrani, z butnymi uśmiechami, nie pieszko tylko w wyborowych ciężarówkach. Tłumy ich nie witały, oprócz grupki

ukraińskich dziewcząt z kwiatami. Powstał nawet samorząd, tzw. "obywatelski" komitet złożony z samych Ukraińców którym przewodził mistrz kamieniarski Waligóra. Wydali nawet jakąś odezwę do ludności po ukraińsku i po polsku; treści nie zapamiętałem. Żydowsy i polscy mieszkańcy zamknęli się w domach w pospuszczanych sztorach okiennych.

Przysłowie głosi, że nieszczęścia chodzą parami. Nadeszła wieść, że Sowieci przekroczyli dawną granicę polsko-sowiecką i posuwają się w kierunku zachodnim. Ich celem było tzw. "wyzwolenie" z polskiego "gniotu" bratnich narodów - ukraińskiego i białoruskiego zamieszkującego tzw. Ziemię Zachodniej Ukrainy i Białorusi.

Wśród ludności żydowskiej zapanowała wielka radość. Polacy przyjęli to z niepokojem i smutkiem, bo byli bardziej przewidujący czego się mogą spodziewać po bolszewikach; że niczego dobrego, to było pewne. U Ukraińców zapanowała konsternacja; oni nigdy nie wyrażali ochoty na połączenie się ze "swoimi braćmi" ze wschodniej, sowieckiej Ukrainy. Oni, "nasi" Ukraińcy liczyli na to, że Hitler stworzy tzw. "Niezależną Ukrainę" i to wcale nie w ramach sowieckiego imperium. Tego w żadnym wypadku i pod żadnym pozorem nie chcieli. Hitler obiecywał, ale co innego jest obiecywać, a zupełnie co innego jest dotrzymywać obietnice. W tym drugim, jedni i drudzy tzn. Niemcy i Sowieci byli niedoścignionymi mistrzami.

I tak zaczęły się w naszym mieście 8-io dniowe rządy Niemców. Ukraińcy utworzyli tzw. tymczasową milicję, w polskich mundurach żołnierskich (widocznie zdartych z zabitych Polaków (?) z niebiesko-żółtymi opaskami (kolory O.U.N.). Od razu znaleźli się liderzy. Jednym z nich był wspomniany Waligóra. Na to im Niemcy zezwolili, ale tylko tymczasowo. Na pierwszy, inicjujący pogrom mieli wielką ochotę, ale im nie wyszło. Potrzebna była na to zgoda władz wojskowych; widocznie jej nie otrzymali. Coś tam jednak się zdarzyło. Jak raz było święto Jom Kipur - Sądny Dzień. Do jednej z bóżnic weszli Niemcy, wygnali modlących się i rozkazali zamiatać ulicę. To wszystko ? Jak naówczas – tak. Ten stosunkowo iluzoryczny spokój Żydzi tłumaczyli sobie samym, że większość niemieckich żołnierzy to byli Austriacy. Na ile to było złudne, okazało się dopiero później. Ludzie wtedy jeszcze nie znali takich nazwisk jak Eichman, Kaltenbruner i wielu innych którzy właśnie byli Austriakami. No, a sam Hitler ? Przecież nie Turkiem był, a właśnie Austriakiem z Linzu.

Po trochę i ostrożnie Żydzi zaczęli wychodzić z domów. My, dzieci i подростки, byliśmy bardziej odważni – nie baliśmy się. Polacy pozostawali w domach; bardziej obawiali się Ukraińców aniżeli Niemców. Od czasu do czasu, o zmroku albo wieczorem można było zauważyć osoby w długich trenczkortach i butach-oficerkach, przemykających się i znikających w ciemnych zaułkach. Widocznie nawiązywali kontakty z miejscowymi Polakami i szukali możliwości przedostania się poza linię demarkacyjną, tzw. Linię Curzona która miała oddzielać armię sowiecką od armii niemieckiej. Po tamtej stronie przeważała ludność polska.

Jak narazie, żadnych restrykcji w postaci opasek, żółtych łat, sześćcoramiennych gwiazd Dawida – nie było. Niemcy po prostu nie zdążyli wprowadzić za ten krótki 8-io dniowy pobyt w Drohobyczu. Właścicielom sklepów spożywczych nakazano je otworzyć, chociaż niewiele towarów w nich pozostało. Piekarnie musiały wznowić wypiek chleba.

W kilka dni później, kiedy ludzie się już trochę oswoili ze strachem, można było zauważyć grupki Żydów prowadzących żywe konwersacje z żołnierzami niemieckimi. Ci prosił Żydzi chcieli się pochwalić swoją znajomością (pożal się Boże) języka niemieckiego. Im się wydawało, że język "jidisz" jest prawie taki sam jak niemiecki, a tak wcale nie jest. Niemcy w ogóle ich nie rozumieli, a jeżeli coś tam jednak zrozumieli, to tylko wskutek żywej gestykulacji w której Żydzi zawsze byli mistrzami. Dorównywali im chyba tylko Włosi. Żydzi rzeczywiście znający niemiecki, a w naszym mieście było ich nie mało, na taką "fraternizację" nie szli. Bywało, że do takich "dyskusyjnych" grup podchodził jakiś Ukrainiec i wskazując palcem na otaczających, mówił : Jude, Jude. Specjalnej reakcji ze strony żołnierzy, raczej nie było. Przecież byli to Austriacy ?! Naiwność ludzka nigdy nie znała granic. O specjalnych wypadkach grabieży w czasie tych 8-iu dni nie słyszałem, oprócz jednego bardzo drastycznego, w postaci grupowego gwałtu dokonanego na pani Wagschalowej, o czym już poprzednio wspomniałem.



Ludzie pilnie słuchali radia u tych którzy je mieli, chcąc się dowiedzieć dokąd Sowietci już doszli i kiedy wreszcie wkroczą do Drohobycza. Niecierpliwość Żydów w tym względzie można było zrozumieć. Jak dotąd, w mieście był tylko Wehrmacht – wojsko. Sonderkommando, SS, Gestapo jeszcze nie nadeszło, a co by to znaczyło, szczególnie jeżeli o Żydów chodzi, to Żydzi wtedy już dobrze wiedzieli. Gazet żadnych w tym czasie nie było.

Jeżeli chodzi o wkroczenie Niemców do Drohobycza w 39-ym roku, to chcę przytoczyć następującą rzecz. Na początku lat 90-ych wpadła mi w ręce nadzwyczaj ciekawa książka w języku angielskim – wspomnienia niemieckiego pułkownika sztabu generalnego o nazwisku Warlimont, pod tytułem: “Inside Hitler’s Headquarters 1939-45”. Rzecz powiedziałbym o faktograficznym znaczeniu. Na stronie 35-iej tej książki znalazłem takie stwierdzenie (po angielsku), które przytaczam w moim, wolnym tłumaczeniu: “Następnego ranka Jodl powiedział mi przez telefon, że poprzedniej nocy Stalin osobiście dzwonił do Ribbentropa z Moskwy z gorzkim wyrzutem, że według informacji jaką on (Stalin) otrzymał od swojego attache, niemieckie wojsko zamierza pozostać na roponośnych terenach w okręgu Drohobycza, w południowej Polsce. Stanowi to, jak powiedział Stalin, naruszenie linii demarkacyjnej ustalonej w tajnym załączniku do Umowy z 23-go sierpnia. Znając nasze niedostatki w produktach naftowych, przy jednoczesnej niezajomości samego Układu, ze szczególnym naciskiem podkreśliłem attache wojskowemu nasze żądania zatrzymania tego terenu. W ten sposób zostałem pierwszym kozłem ofiarnym złożonym na ołtarzu tego wątpliwej wartości sowiecko-niemieckiego układu o przyjaźni”. Koniec cytatu. Widocznie jednak, w owym czasie nacisk Stalina był mocniejszy od argumentacji pułkownika Warlimontowa wobec pana attache wojskowego i Niemcy, narazie wtedy, na nasze tymczasowe i krótkotrwałe szczęście, musieli opuścić Drohobycz łącznie z Borysławiem, Schodnicą, Uryczem - całym tym terenem noszącym wtedy nazwę Zagłębia Naftowego Małopolski Wschodniej. To “wielkie nasze szczęście” trwało krótko, bo tylko dwa lata – od 1939-go roku do 1941-go roku.

W 1941-ym roku Niemcy wrócili i to na długie jak wiek cały, tragiczne, koszmarnie i krwawe pięć lat. Pięć lat określonych w historii jako katastrofa żydostwa europejskiego w ogólności, a żydostwa polskiego w szczególności.

## **INWAZJA SOWIECKA -LATA 1939-1941**

I wreszcie nadszedł ten tak przez Żydów oczekiwany dzień. Sowiecka armia miała w tym dniu wkroczyć do Drohobycza. Grupa ludzi, samych Żydów między innymi i ja, zebrała się na ulicy Stryjskiej, koło warsztatu szewskiego Forsta. Stamtąd miał nadjechać pierwszy patrol sowieckiego wojska. Jest ! Pierwsza, odkryta ciężarówka na której stali słończeni żołnierze. Entuzjastyczne okrzyki i powitania. Żydzi mieli się czemu radować, bo gdyby pobyt Niemców się przedłużył, nie wiadomo, a raczej wiadomo, jaki byłby ich los. Było również trochę rozczarowania. Żołnierze nie tak schludnie ubrani, w długich od dołu nie obrobionych szynelach ze zwisającymi frędzlami, nieczyszczonych butach itp. Możliwe, że przez te 8 dni z Niemcami zdążyliśmy się przyzwyczaić do zawsze wygolonych, sytych niemieckich pysków, szykownych mundurów, zawsze zapiętych na ostatni guzik, wyczyszczonych do błysku butów itp. Jak niesprawiedliwe i nieobiektywne bywają porównania i opinie. Przecież tamci, Niemcy, to byli bandyci i rabusie, a ci to prości ludzie, to bracia, dla nas Żydów wyzwolicieli.

Tamtych nienawidziliśmy, tych kochaliśmy, bo wtedy nas, Żydów uratowali od pewnej śmierci. Ci co przyszli za nimi – biurokraci, łapówkarze, niegodziwcy, ci przywieźli ze sobą N.K.W.D. i aparat ucisku. To zupełnie inna kategoria, oni nic nie mieli wspólnego z tymi żołnierzami z tej pierwszej ciężarówki i tych co za nimi ciągnęli. Rodziny wielu z tych pierwszych musiały cierpieć tak jak zresztą większość tego narodu cierpiała w tym niesprawiedliwym systemie.

Między pierwszymi żołnierzami byli również Żydzi którzy znali i mówili po “jidisz”. Oni sobie zdawali sprawę z tego co dla nas, Żydów oznaczało ich przyjście

Oprócz Żydów, nikt więcej ich nie witał. Polacy z wiadomych i usprawiedliwionych przyczyn. Przecież to ich, sowiecki rząd zadał morderczy cios w plecy wspólnie z tymi bandytami Niemcami. To ta gangsterska spółka ukradła Polakom Ojczyznę. Według Polaków, niczego dobrego od nowych władców oni, Polacy oczekiwać nie mogli. Już wkrótce mogli się o tym przekonać. Ukraińcy się nie pokazywali. Oni swoje rozczarowanie i żalobę przeżywali w cichości ducha. Narazie. Ta garstka komunistów ukraińskich nic nie znaczyła. Również narazie.

Sytuacja była dosyć dziwaczna. Na Stryjskiej ulicy już Sowietci, zaś o niecały kilometr, w Ratuszu jeszcze Niemcy. Dowództwa obu wojsk w końcu się porozumiały i Niemcy zaczęły się wycofywać w kierunku ulicy Samborskiej. W tą pierwszą noc żeśmy nie spali i do ochrypłości witali nowo nadciągające oddziały sowieckie. Niemców nikt nie żegnał.

Sowieccy żołnierze ciągle nas się pytali czy jest u nas to czy tamto. Chodziło o cukier, mąkę, mięso, ubrania, tekstylia, skórę i jeszcze wiele innych rzeczy. Widocznie u nich to bywało bardzo rzadko i dlatego pytali, ażeby porównać to co u nas zawsze było, z tym czego u nich zawsze brakowało. Trochę czasu wzięło nim się ludzie zorientowali o co im chodzi. Na wszelki wypadek ludzie odpowiadali: tak, było, tylko giermaniec (Niemcy) wszystko zabrał. Oni na to: niczewo, wsio budiet. Z czasem zaczęły się uśmieszki. Na pytanie czy to czy tamto jest, ludzie zaczęli odpowiadać, że niet. Wtedy oni pocieszali: niczewo, u nas jest i to mnogo, i u was budiet. To “wsio budiet” stało się przysłowiowe. Ludzie zaczęli się pytać: a “curys” (zmartwienia, zgrzyoty) u was jest ? Wtedy oni: jest, mnogo jest i u was budiet. I rzeczywiście, wkrótce okazało się że tego towaru (curys) u nich zawsze było mnogo, a i u nas zaczęło tego być coraz więcej.

Wkrótce za wojskiem zaczęła nadciągać tzw. administracja cywilna. Przeważnie byli to ludzie z zapadłych miejscowości, ze wsi, z kołchozów, którzy w życiu wiele nie widzieli i dla których my, ten mały, prowincjonalny Drohobycz byliśmy ten “zapad” (zachód). O takich u nas się mówiło: “ w dupie był, gównu widział, w stodole spał i drabiną się nakrywał, a jak krowa srała to myślał, że zegar bije”.

Oczywiście, że czasem trafiały się jednostki bardziej oświecone, którzy coś niecoś jednak słyszeli o tym zachodzie, a nawet o takich jego peryferiach jak Drohobycz. Nawet w Drohobyczu trafiali się megalomani o przesadnym mniemaniu o naszym mieście i mówili, że Drohobycz to taki mały Paryż (klein Paris).

Przypominam sobie, że później w okresie mojej służby w sowieckim wojsku w czasie wojny moi współtowarzysze zwracali się do mnie: nuka Fiedka (tak oni mnie wtedy nazywali)

raskaży kak eto u was w Polsce ludi rańsze żyli; nieużeli każdy imieł swoj sobstwiennyj zawod ? W wolnym tłumaczeniu to mniej więcej znaczy: opowiedz jak to się u was w Polsce przedtem żyło; czyżby naprawdę każdy miał swoją własną fabrykę ? Takich mniej więcej ludzi ta nowa władza nawiozła. Ci ludzie nie wiedzieli co to W.C. (angielski klozet), w muszli klozetowej nieraz trzymali masło albo mleko we flaszkach, lodówek wtedy nie znano (nie tylko u nich ale również i u nas). Po mleko czasem chodzili z nocniczkami, bo to naczynie miało uszko i wygodnie było go trzymać. Do teatru czy na bal kobiety ubierały się w eleganckie, jedwabne, wyszywane koszule nocne. Na codzien, kiedy było zimniej chodzili w walonkach filcowych, u nas w ogóle nieznanych. Eleganckie damskie pantofelki, u nich nazywane “model tufli” były szczytem marzeń każdej sowieckiej kobiety. Również zegarki ręczne uważane były za luksus. Na ten temat krążył dowcip: do miejscowego zegarmistrza wchodzi Sowiec taszcząc na plecach ogromnych rozmiarów zegar ścienny i mówi: wot tobie bolszyje czasy, sdietaj diesat maleńkich, a czto ostanietsia siebie woźmi. W skrócie brzmi to: masz tu duży zegar, zrób z niego dziesięć małych, a co się zostanie możesz sobie zatrzymać.

Gwoli prawdy, trzeba powiedzieć, że ten przemysł zegarmistrzowski po wojnie rozwinęli do tego stopnia, że nie tylko zasypali swój wewnętrzny rynek, ale też masę tego eksportowali do krajów pod tym względem zacofanych. Zegarek ręczny dawno przestał być w sowietach luksusem.

Cukierki i słodycze u nas kiedyś kupowano na dekagramy 50-100-150. Oni kupowali, jeżeli było, na kilogramy.

Kupcom w tym czasie jeszcze nie zdążono sklepów znacjonalizować czyli upaństwowić. Wszystkie buble od lat leżące w magazynach lub na półkach jakich nikt z miejscowych nie kupował, okazały się niezwykle chodliwymi. Sowiet kupowali wszystko co oko dostrzegło.

A pieniądze, szczególnie te polskie które wtedy jeszcze były w obiegu, mieli całą kupę. Skąd je wzięli ? Diabli wiedzą. Te buble musieli widocznie posyłać swoim rodzinom w głębi Rosji. Tam to wszystko stanowiło wielką atrakcję. W taki więc sposób wszystkie stare sklepy zostały opróżnione z towarów i świeciły pustkami. Uzupełnień nie było. Bo niby skąd ?

Co trzeba przyznać, że z czasem doszli do pewnej ogołady i to pod wpływem miejscowych ludzi. Widocznie musiało w jakiś sposób do nich dotrzeć na ile ośmieszali swój, sowiecki system. Zaczęli się prowadzić “po nowemu”, “po zachodniemu”. Zasmakowali w tym.

Jedną z pierwszych rzeczy czym nas “uszcęśliwili” i to na samym początku swojego “włastwowania” było przestawienie miejscowego, średnioeuropejskiego czasu na czas moskiewski. Różnica była dwóch godzin. Nie wiadomo jakimi przesłankami się kierowali. Może w ten sposób chcieli wykorzenić do końca nasz poprzedni “kapitalistyczny” ustroj ? Kto ich tam wie. Nam, w naszym codziennym życiu wprowadzało to niemały zamęt. Organizm ludzki ma w sobie coś w rodzaju zegara biologicznego. Zegar na ratuszu inżczej zaczął wydzwaniać godziny. Po nowemu, po moskiewsku.

Ciekawa rzecz. Na ulicy, a szczególnie w rynku pokazało się kilku Niemców, jeszcze w niemieckich mundurach tylko bez dystynkcji, z czerwonymi wstęgami na czapkach, w świetnych, okutych “bergsztajgerach” – zawsze w asyście “smutnych facetów” enkawudzistów. Okazało się, że byli to Niemcy - komuniści którzy korzystając z pierwszej nadarżającej się okoliczności, z zawołaniem “Rot Front” przebiegali na sowiecką stronę. Miejscowi ludzie często ich oblegali i rozmawiali z nimi po niemiecku. Później gdzieś zniknęli. Chodziły słuchy, że wszystkich, co do jednego, na wszelki wypadek, rozstrzelano, bo mogli między nimi być, a może i byli agenci specjalnie nasłani. To “na wszelki wypadek” jest dobrze znane i stosowane w sowieckim systemie. Według stalinowskiego pryncypu, jeżeli ma się do czynienia z tysiącem ludzi niewinnych i między nimi może okazać się jeden winny, to najskuteczniejszym sposobem jest unicestwienie całego tysiąca i wtedy ma się tę pewność, że ten rzeczywisty winowajca nie uszedł i dostał to na co zasłużył. Należało to do codziennej praktyki w stalinowskim okresie.

Z chwilą przyjścia Sowietów wszystkie dotąd działające organizacje i stowarzyszenia automatycznie przestały istnieć. Same się rozwiązały. Nikt im w tym nie musiał pomagać.

Przypominam sobie jak to niedługo po wkroczeniu wojsk sowieckich, w Drohobyczu pojawił się Chruszczow, wtedy I-y sekretarz K.C. Ukrainy, w asyście dowodzącego wojskami, inwazyjnymi, generałem Timoszenko, które wspólnie z "przyjacielską" armią niemiecką zamordowali Polskę. Według ówczesnych dystynkcji wojskowych Timoszenko był "komandorem pierwszej rangi". Wtedy jeszcze nie było generałów i oficerów i nie noszono epoletów - atrybutów carskiej armii. Wtedy Czerwona Armia była jeszcze armią robotniczo-chłopską. Marszałkowie, owszem byli. Było ich pięciu: Woroszyłow, Tuchaczewski (rozstrzelany w 37-ym roku), Budionny, Szapozhnikow i Kulik (rozstrzelany w późniejszym okresie).

Chruszczowowi i Timoszenko urządzono wielkie zbiegowisko byłych komunistów przywódców, których rozstrzelano wszystkich co do jednego, czemu w niemałej mierze przyczynił się także Chruszczow. Z zasłyszanych rozmów starszych zrozumiałem, że powodów do zachwytu nie było. Podobno później po zebraniu, w kularach Chruszczow się dziwił wyrażając przy tym niezadowolenie, że kiedyś w Polsce było aż tylu komunistów Żydów przy tak znikomych ilościach Ukraińców i Polaków. Już wtedy wyszło szydło z antysemitckiego worka Chruszczowa.

Żydzi zawsze byli "persona non grata" w ruchu komunistycznym. Ich potrzebowano do różnych brudnych robót dla Komiternu którym, również w skrytości, nie były obce antysemityczne uczucia; Żydami posługiwano się do szpiegowania w swoich krajach na rzecz Sowitów, zawsze bez słowa "uznania". Innym szpiegom, nie-Żydom, sowieci musieli słono płacić. Żydzi byli szpiegami z motywacją ideologiczną i za swoją "robotę" pieniędzy nie brali. Żydzi nie wiedzieli, a może i nie chcieli wiedzieć, że dewizą sowieckich komunistów było: "ja komunist, ja internacjonalist, no Żydów ja nienawidzę"; tego nawet tłumaczyć nie muszą. Widocznie naiwność tak samo jak głupota nie mają granic. Jaki Chruszczow miał stosunek do żydowskich komunistów można przeczytać w niezwykle ciekawej książce - reportażu Teresy Toruńskiej "Oni".

Mówią, że Żydzi to mądra nacja. Dużo o tym pisze Paul Johnson w swoim obszernym dziele "History of the Jews". Fascynująca książka. Gdzie więc byli ci mądrzy Żydzi w 1917-ym roku i później aż do 1937-go roku ? Gdzie są dziś ? A może by tak pomogli swoją mądrością temu naszemu maleńkiemu państewku, żyjącemu w permanentnym zagrożeniu ?

Niedługo po wkroczeniu wojsk sowieckich i rozpoczęciu organizowania nowego porządku zaczęto się coś w rodzaju "weryfikacji" byłych komunistów. Ci którzy mieli to robić byli ludźmi na ogół bardzo prymitywnymi, o sowieckiej małomiasteczkowej mentalności na poziomie powiatu. Drohobycz urósł do rangi województwa. Przed wojną był częścią województwa lwowskiego.

Jak wyglądała ta "weryfikacja", wiem z opowiadania niektórych osób którzy ją przechodzili. Siedzący za stołem tępak (bo jak można nazwać go inaczej, sądząc na podstawie stawianych pytań) zadawał pierwsze pytanie: należałeś do partii ? Pokaż bilet (legitymację) partyjny. Kiedy próbowano mu wytłumaczyć, że partia była nielegalna i legitymacji nie było, bo i być nie mogło, do tego tak zwanego funkcjonariusza politycznego to nie docierało. Jak to nie było ? Takiego być nie może. Partia komunistyczna bez legitymacji partyjnych ? O czymś takim nigdy nie słyszał. I tak dalej, w podobnym duchu.

Jedyną instytucją dobrze zorganizowaną, aż do ostatniego szczegółu, bo jeszcze tam u siebie za Zabruczem (dawna granica między Polską a Sowietami) była N.K.W.D. Ci to bez zbytniego szukania znaleźli swoje lokum, swoją siedzibę - budynek byłego drohobyckiego sądu z gotowym więzieniem śledczym które tylko czekało na nowych "lokatorów". Trzeba je było zapęłnić i to jak najszybciej. Sprawnie się do tego wzięli, bo jak to żeby taki okazały, duży gmach mógł pozostać nie zapęłniony ? Co ? Wrogów nie ma ? Są wszędzie i to bez liku. Trzeba ich tylko szybko i dobrze odszukać, ażeby się nie porozbiegali. Przede wszystkim szukano trockistów. W ich pojęciu było ich mnóstwo w starej partii. A jeżeli nie było, to trzeba ich

stworzyć. W ten sposób pracowało N.K.W.D. tam usiebie, w starym “domu” i tak musiało pracować w nowym, “domu”; tylko bardziej intensywnie. Dewizą tych organów powinno było być stanie na straży socjalistycznej praworządności i służenie narodowi. Ta ich praworządność wcale nie służyła narodowi tylko jego władcy. W praktyce była ona absolutną, nieludzką i nierządną.

Zaczęło się szykanowanie nie tyle winnych co niewinnych. Znaleźli się miejscowi “pomocnicy”. Byli to nieetatowi, niepłatni tzw. “seksoci” (słowo to wywodzi się z dwóch rosyjskich słów “sekretnyj” i “sotrudnik”) z motywacją “ideologiczną” – kreatury bez czci i honoru. Werbowano ich wypróbowanymi sowieckimi metodami: w pierw indoktrynacja, później “łagodna” perswazja i jeżeli to nie dawało pożądaných rezultatów, przystępowano do gróźb i szantażu. W końcu delikwent się załamywał i podpisywał “bumagę” - zobowiązanie o współpracy. Sądził, że jak na razie tym się wymigał. Niektórych jednak sumienie czasem gryzło. Dawano takiemu jakiś czas spokój, a potem zaczynało ciągnąć i to coraz częściej – dawaj “materiały”. Tak więc zaczynał “sypać” ludzi Bogu ducha winnych. Tamci przede wszystkim chcieli nazwisko; resztę już oni “dorabiali”.

Przypominam sobie dwie takie ofiary. Jednym z nich był brat mojego kolegi, Majera. Chaim. Z niego zrobiono trockistę. W domu przeprowadzono rewizję; oprócz rzekomej literatury trockistowskiej szukano, schowaną broń (?). Chaim miał tyle wspólnego z trockizmem co ja z mahometyzmem. W końcu zrobiono mu proces, dano 5 lat i wysłano na północ do lagru. Z tą piątką Chaim miał jeszcze “szczęście”. Później byłby “zafasował” dużo więcej. Widocznie wtedy to musiała być “ulgową” standartowa norma dla niewinnych, na tzw. “wyzwolonych terenach”. Na ten temat krążył dowcip: nieszczęśnik wraca z rozprawy do celi, współtowarzysze niedoli pytają go ile dostał i słysząc że “piątkę”, pytają dalej – a za co ? On mówi, że za nic; wybucha ogólna wesołość i jeden z więźniów mówi: nie opowiadaj bajek – za nic daje się “dziesiątkę”. W końcu Chaimowi się naprawdę poszczęściło. W 41-ym roku Sikorski zawarł układ ze Stalinem i jednym z warunków było amnestionowanie wszystkich (?) byłych obywateli polskich. Chaim odsiedział tylko dwa lata, przeżył wojnę, wrócił do Polski, przedostał się do Palestyny poprzez brytyjski obóz na Cyprze. Niedawno zmarł w Izraelu.

Drugą ofiarą był wspomniany już przeze mnie sprzedawca gazet w sieni na rynku. Nazywał się Eli Kahane – “Rebały”. Jego musiała zadenuncjować ta sama banda łajdaków co Chaima. On to chociaż bardziej pasował na trockistę, bo przecież kiedyś był komunistą. Chaim komunistą nigdy nie był. Był szomrakiem, syjonistą. Ile tamten dostał - nie wiem. Na pewno dużo więcej. Widocznie lagru nie wytrzymał (w ogóle to on był słabowity); w każdym razie, po wojnie nikt ze znajomych o nim nie słyszał. Przypadków takich jak wyżej była niezliczona ilość.

W tym miejscu chciałbym wrócić i zakończyć historię Abego, przyjaciela mojego najstarszego brata, Szlomka. Na poprzednich stronach zatrzymałem się na tym, że współwięźniowie Abego ze świętokrzyskiego więzienia zgodzili się wziąć go ze sobą i razem przedostać się na tereny już zajęte przez wojska sowieckie. Jak to się wszystko odbyło – nie wiem. W każdym razie, pewnego dnia Aby zjawił się u mojego brata z postanowieniem oddania się w ręce władz sowieckich ażeby ona, ta “sprawiedliwa” proletariacka władza całą jego przedwojenną sprawę od nowa rozpatrzyła i potwierdziła jego niewinność. Przypominam sobie jak to wieczorami siedzieli z moim bratem i komponowali ten memoriał.

W międzyczasie Aby zaczął pracować jako ślusarz u swojego brata, Moszka, (mojego byłego majstra u Russa). Moszku miał wtedy warsztat ślusarski w Hali Targowej gdzie miała swój urząd również milicja drohobycka. Jakiegoś tam dnia Abego wezwano do gabinetu komendanta milicji. Siedział już tam jakiś cywil który zwrócił się do Abego z prośbą (?) ażeby Aby poszedł z nim na Stryjską do byłych sądów gdzie urzędowało N.K.W.D. (przedstawił się, że tam pracuje) ażeby spróbował otworzyć kasę pancerną, która niechcący sama się zatrzasnęła. Aby powiedział, że specjalistą od otwierania kas jest jego brat, Moszku, i że lada chwila on powinien wrócić. Ten cywil powiedział, że czekać nie może i to na pewno nic wielkiego i Aby z pewnością sobie poradzi. Wyszli i poszli w kierunku sądów (jakieś 400 metrów od Hali

Targowej). Po drodze Aby mu zdążył opowiedzieć, że kiedyś, przed wojną tam siedział. Ten go jeszcze spytał czy pamięta numer celi. Aby wymienił numer, który rzeczywiście pamiętał. Widocznie takich rzeczy się nie zapomina. Pozostają one w pamięci przez całe życie. Przy bramie wejściowej do sądów ten cicho szepnął coś strażnikowi. Weszli na któreś tam piętro, ten cywil kazał Abemu zaczekać na korytarzu i sam wszedł do któregoś z pokoi. Jak mi Aby opowiadał, czekał tam chyba bitych 12-ie godzin. Po kilku godzinach zorientował się, że z tą kasą to był tylko trik. Widocznie to był jeden ze sposobów moralnego łamania. Około 12-ej w nocy zawezwano go do jednego z pokoi, gdzie czekało już na niego dwóch śledczych. Zaczęło się od sprawdzania danych osobistych. Dopiero nad ranem wprowadzono go do celi numer której Aby podał mu po drodze. Perfidia czy mściwa głupota? Raczej to drugie. Bo być perfidnym trzeba choć trochę posiadać inteligencji.

Ile czasu to śledztwo trwało – nie wiem. Rozprawy sądowej żadnej nie było. Kiedyś zawezwał go śledczy i podsunął mu do podpisania papier z postanowieniem specjalnego posiedzenia N.K.W.D. miasta Moskwy (tzw. Osoboje Sowieszczanie), że skazany został na 10 lat z zsyłką w dalekie łagry na północy. Umotywowanie tego trochę dziwnego postanowienia było “za długoletnią działalność prowokatorską w byłej K.P.Z.U. – Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy” i nic więcej. Aby nie chciał tego podpisać i zażądał wykreślenia zdania “za długoletnią działalność prowokatorską”. Z wszystkim innym jak gdyby się zgodził. Co mu przeszkadzało, to tylko to jedno zdanie. I co mu tem śledczy nie klarował, że on nie ma prawa i nie może w tym papierku niczego zmieniać, bo tak to przyszło z samej Moskwy – Aby stanął okoniem i nie podpisywał. Śledczy już dobrze podenerwowany powiada mu: jeżeli myślisz, że jak nie podpiszesz to nie będziesz siedział, to jesteś w grubym błędzie. Czym się ta trochę groteskowa sytuacja zakończyła – nie wiem. Co wiem na pewno to, że Aby przesiedział długie lata.

Przypomina to trochę sytuację z dowcipu o dwóch Żydach w jednej celi; jeden z nich leży na górnej pryczy, a drugi ze zdenerwowania chodzi po celi tam i z powrotem. W końcu temu z tej górnej pryczy zaczęło to chodzenie przeszkadzać, więc zwrócił się do tego krążącego: panie Finkelsztajn, jeżeli pan myślisz, że kiedy pan chodzi to pan nie siedzi, to jesteś pan w grubym błędzie.

Ciekawa rzecz. Kiedy już całą kupę w tym również Abego wieszono ciężarówką do Stryja i stamtąd dalej na wschód, Aby nagle usłyszał: O, panie Szwarz to pan też tu jest? To był głos byłego naczelnika wydziału politycznego drohobyckiej policji, Lisa który Abego dobrze znał z tamtych czasów. Aby, trochę stropiony, odpowiedział: panie Lis, to, że pan tu jest, to jest prawidłowość historyczna, a to, że ja tu jestem to jest pomyłka która na pewno szybko się wyjaśni. Ta “pomyłka” wyjaśniała się długie lata i to bez wyjaśnienia. Żadna z amnestii dla byłych polskich obywateli Abego nie objęła, tak samo jak mojego brata Fredka. Aby odsiedział prawie cały swój wyrok (mój brat Fredek nie “prawie”, ale całe 10 lat, “od dzwonka do dzwonka”). Pan Lis, przypuszczam, wyszedł po dwóch latach na podstawie umowy Sikorski-Stalin i być może, zaciągnął się do armii Andersa i razem z nią opuścił Rosję - wyjechał do Persji i w końcu dotarł do Anglii. Może być, że gdzieś tam jeszcze żyje. Życie lubi czasem płatać figle. Aby wrócił z Rosji gdzieś pod koniec 49-go roku, tak mi się wydaje. Przypadkowo spotkałem go we Wrocławiu. Właśnie wyjeżdżał do Warszawy ażeby wznowić swoją sprawę.

Życzliwi mu ludzie mówili: zostaw to wszystkim w diabły; Żydzi wyjeżdżają, jedź z nimi i daj sobie spokój. Przed wojną Polacy dali ci 8 lat, od ruskich “zafasowałeś” 10 lat. Czy masz tę pewność, że ta nowa polska władza obejdzie się z tobą lepiej i nie zechce pozostać w tyle za swoimi sowieckimi mocodawcami? Aby to uparty człowiek. Nijak nie chciał dać za wygraną. Pojechał do Warszawy, wznowił całą sprawę i wyobraźcie sobie - wygrał!! Zdjęto z niego wszystkie obwinienia i uznano je za bezpodstawne. Wydano mu legitymację partyjną (wielkie “szczęście”- dla niego może tak) z zaliczeniem stażu wszystkich lat, dano posadę naczelnikowską w Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej, przydzielono w specjalnym trybie mieszkanie w Warszawie.

Ożenił się i miał dwoje dzieci – syna i córkę. Byliśmy z nimi w kontakcie aż do naszego wyjazdu w 1964-ym roku. Będąc w Nowym Jorku w 68-ym roku wpadła mi w ręce warszawska gazeta “Życie Warszawy” z marcowych, zdaje się, dni rozruchów studenckich, z notką, że wicedyrektora departamentu w Ministerstwie Zdrowia i Opieki Społecznej, Adama Drukiera (tak Aby się nazywał po wojnie; Drukier to było jego drugie nazwisko obok Szwarca; Żydzi zawsze byli mistrzami w komplikowaniu sobie życia) wykluczono z partii i jednocześnie zwolniono z pracy. Aby się “obraził” i wrócił do swojego pierwotnego zawodu ślusarza. Czy w ten sposób jego krąg się zamknął ? Tym razem chyba tak. Drukierowie (Szwarcowie) wyemigrowali do Szwecji. Jego brat, (mój były majster) Moszku, już wtedy mieszkał w Izraelu. I niech ktoś powie, że życie nie płata figli ? Skąd znam tą całą historię ? Opowiadał mi sam Aby, osobiście, w ciszy swojego, wtedy naczelnikowskiego jeszcze, a nie dyrektorskiego, gabinetu w Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej w Warszawie.

Trochę się zagalopowałem i wybiegłem w czasie. Wracam więc do drohobyckich spraw. Już przed tem wspomniałem, że najechało dużo tych nowych, sowieckich funkcjonariuszy. Pierwszą ich czynnością było zajmowanie mieszkań. Bardzo im się podobały mieszkania bogatych ludzi według ich określeń tzw. burżujów-wyzyskiwaczy. Jaki więc był sposób na zwolnienie mieszkania ? Całkiem prosty - rodzinę taką wysiedlano poza tzw. strefę przygraniczną do której Drohobycz był zakwalifikowany, oczywiście bez mebli i innych urządzeń, które według nich stanowiły integralną część mieszkania, i wprowadzanno tzw. sowieckich proletariuszy. W bardzo krótkim czasie mieszkanie doprowadzane było do stanu kompletnej dewastacji. Ci nowi mieszkańcy po prostu nie wiedzieli jak korzystać z tych wszystkich urządzeń które mają ułatwiać życie.

Do naszego podwórka żaden sowiec się nie wprowadził, bo u nas nie było czego szukać. W ten sposób w naszym kręgu wszystko zostało po staremu.

Sklepy na ogół świeciły pustkami, a jeśli już czasem coś przywozili, to trzeba było godzinami stać w kolejce. Przedtem tego u nas nie znano. Sowietci natomiast władali w tym względzie dużą rutyną i zręcznością u nich w domu. U nas w kolejkach oni stać nie potrzebowali. Mieli swoje sposoby na dostawanie wszystkiego sposobem bezkolejkowym. Dla nich otwarto tzw. spectorgi – specjalne sklepy dla uprzywilejowanych. Wchodziło się tam za okazaniem specjalnych legitymacji albo przepustek. U wejścia stał strażnik który te sprawy regulował i od którego wiele zależało. Tam zawsze był szeroki wybór towarów i to po tzw. “twardej” cenie (państwowej). Sowietci zazwyczaj kupowali większe ilości i nadwyżki oddawali znajomym spekulantom do sprzedaży na rynku po dużo wyższej cenie. Zysk był podzielny. Jaki procent oni dostawali, to była ich tajemnica. Widocznie taki u nich istniał system uzupełniania braków rynkowych. Oczywiście, że towary na rynku kupowali tylko ci którzy mieli pieniądze uzyskane oszukańczym sposobem. W ten sposób super-spekulantami byli sami Sowietci i to ci którzy stali przy “korycie”; wszystko jedno jakim, byleby to było koryto. W ten sposób ta nowa władza wprowadziła u nas nowy system wymiany handlowej, u nas przedtem nieznaną. Prości ludzie, ci bez “chodów” i znajomości byli coraz bardziej nieszczęśliwi i dla nich “szczęściem” nazywało się, jeżeli coś mogli kupić po “twardej” cenie, nawet gdy wymagało to spędzania nie wiem ile czasu w kolejkach. Takie były prawa które oni nawieźli, tylko, że oni wiedzieli jak z nich korzystać albo omijać i to dla swojego własnego dobra. Sami mówili że “prawo kak dyszło, kuda nie powierniosz tuda i wyszło”.

Niedługo potem wszystkie sklepy zostały upaństwowione i zamienione na tzw. Miśktorgi (handel miejski). Państwo handlowało wszystkim, począwszy od traktorów i lokomotyw i na pietruszce, fasoli i kapuście skończywszy. Przed wojną u nas “sprzedawano”, za Sowietów “dawano” (od rosyjskiego słowa “dajut”) – “dawano” cukier, mąkę, chleb, oliwę, buty, płaszcze, kalosze itp. Dawano, jak gdyby to było “dobrodziejstwo” i za “darmo”.

Jednym słowem “żyć stało lepiej i żyć stało weselej” jak to kiedyś powiedział geniusz ludzkości, towarzyszył Stalin po zakończeniu którejś tam pięćdziesiątki i to w tym samym czasie kiedy ludzie masowo ginęli z głodu. (Chodzi o głodówki w latach 30-tych i od razu po

zakończeniu II-iej wojny światowej; w narodzie utarło się określenie czasów według głódówek; na przykład to i tamto wydarzyło się dwa lata przed pierwszą głódówką, a to i tamto trzy lata po drugiej głódówce itp. Inaczej mówiąc, głód stał się wymiarem czasu.

Krawcy, szewcy, szklarze, stolarze i inne zawody świadczące społeczeństwu usługi niezbędne w codziennym życiu, zeszyły z areny jako samodzielni rzemieślnicy. Potworzono tzw. Artele czyli Spółdzielnie: Artel szewski, artel krawiecki, artel stolarski itp. Każdej takiej "arteli" nadawano jakieś imię, na przykład Woroszyłowa, Budiennego, Karola Marksa itd. ażeby to ładnie i zachęcająco brzmiało. Być może, że tego rodzaju komasowanie drobnej wytwórczości było wymogiem nowych czasów, ale nie w tej, sowieckiej postaci. Rzecz w tym, że na czele takiego artelu stawiano prezesa, a jak prezes to powinien być i wiceprezes i każdemu z nich trzeba dać sekretarkę; wszędzie wymagany był kierownik kadr, główny buhalter, organizacja partyjna i zawodowa z sekretarzami, pięknie umeblowane gabinety itd. itp. Na każde takie stanowisko wyznaczano faceta ze wschodu; prerogatywę wyznaczania lub nominacji zazwyczaj zatrzymywali dla siebie sekretarze miejscowych organizacji partyjnych. Wszystko odbywało się według zasady "ręka rękę myje", "dziś ja tobie, jutro ty mnie". Ci "naznaczeni", "nominanci" dobrze wiedzieli, że w pierwszym rzędzie mają zabezpieczyć tych co ich postavili i ich rodziny, potem tych z usług których oni sami korzystali itd. itp.

Zwykłemu człowiekowi uszycie ubrania czy naprawa butów stanowiło duży problem, bo wiele czasu roboczego dla "prostaczków" nie pozostawało po zabezpieczeniu potrzeb wszystkich prominentów i ich rodzin.

Prostytucja pozornie tylko zniknęła i ponoć od razu przestała istnieć. Bo to przecież był najbardziej jaskrawy wytwór kapitalistycznego systemu. Dla nich zakładanie arteli albo burdeli jakoś nie wypadało, i dlatego zakwalifikowano ten jeden z najstarszych zawodów tego świata, jako pasożytniczy. Kobiety uprawiające ten zawód wyławiano, aresztowano i przymusowo wysyłano do oddalonych miejscowości sowieckiego imperium – na przesiedlenie i reedukację.

Przez pewien czas wszelki słuch o nich zaginął. Wiadomo jednak, że w przyrodzie nic nie ginie. I tak, po pewnym czasie od wielu z nich zaczęły przychodzić listy do dawnych znajomych i niektórych byłych, starych "klientów", już z nowego miejsca; i to listy wcale nie płacziwe. Okazało się, że niektóre z nich nawet porobiły kariery w nowych miejscach; powychodziły za mąż za miejscowych prominentów którym widocznie musiały odpowiadać ich technika zawodowa, o jakiej oni przedtem i zielonego pojęcia nie mieli. A że niektóre z nich były eleganckie i przystojne, nie ulegało wątpliwości. Może być, że zasmakowały w nowym, ustabilizowanym życiu. Może też zaczęły rodzić dzieci? Kto ich tam wie? Tak więc, co jak co, ale problem prostytucji, tej ulicznej, w naszym mieście udało się rozwiązać.

Jak to wyglądało z tą ukrytą częścią tego kobiecego fachu działającego nielegalnie, w "podziemiu" – to już zupełnie inna sprawa.

O tym już wspominałem, że przed wojną Drohobycz był miastem powiatowym w ramach województwa lwowskiego i że Sowietci podnieśli go do rangi województwa (obłasti). Wymagało to oczywiście utworzenia całej masy nowych, dodatkowych urzędów. Kierowanie tymi urzędami całkowicie pozostawili w swojej gestii i na ich czele stawiali swoich ludzi, przybyszy ze wschodu. Jeżeli jest urząd to i potrzebni są referenci i urzędnicy. I tu, już nie mający innej rady, musieli zapierać je miejscowymi ludźmi. W ten sposób dużo młodzieży - maturzyści i nawet nie ukończeni absolwenci gimnazjów znalazło zatrudnienie. Co trzeba przyznać i na ile ja pamiętam, bezrobocia nie było. Każdy musiał gdzieś pracować, bo prawo do pracy zapewniała mu tzw. Stalinowska Konstytucja. Co mu ta praca dawała, ike zarabiał i co mógł za ten zarobek kupić, to już inna sprawa. A propos tej konstytucji noszącej nazwę Stalina, jako rzekomego jej twórcy, to jeszcze jedno kłamstwo i fałszerstwo przez samego Stalian wymyślone. Faktycznym jej autorem był N.Bucharin, rozstrzelany jako wróg ludu i zdrajca w 1937-ym roku. Tak podają wiarygodne źródła zachodnie.

W Drohobyczu utworzono Instytut Pedagogiczny. Zajął on gmach byłego Gimnazjum Państwowego przy ulicy Sienkiewicza. A w ogóle, to gimnazja przestały istnieć w związku



z sowieckim systemem dziesięciolatek. Wspomniany instytut cieszył się nawet dosyć dużym wzięciem młodzieży żydowskiej a nawet też ukraińskiej. Język wykładowy był ukraiński. Polska młodzież w tym nie uczestniczyła.

Nowe władze były bardzo aktywne jeżeli chodzi o indoktrynację młodzieży w wieku szkolnym. W związku z tym utworzono tzw. Pałac Pionierów w byłej rezydencji prezydenta miasta Drohobycza, Rajmunda Jarosza. Jak na owe czasy był on podobno dobrze wyposażony w różnego rodzaju urządzenia i akcesoria sportowe. Prowadzone były różnego rodzaju kółka – dramatyczne, chóralne, sportowe. Do tego używano płatnych, niezłe przygotowanych instruktorów, oczywiście tylko sowieckich. Miejscowi instruktorzy dostępu nie mieli. Dyrektorem tego Domu była żona dowódcy garnizonu wojskowego, generała Rjabyszewa, jak mówiono - byłego carskiego unteroficera. Czy przyjmowali tam również miejscowe dzieci ? Nie mogę sobie przypomnieć. W każdym razie, ani ja ani też żaden z moich kolegów żeśmy tam nie chodzili. Chyba nie tylko ze względu na wiek ? Czasami, przechodząc tamtędy, z ciekawości zaglądaliśmy przez żelazne sztachety wysokiego parkanu. Mój kolega, Majer, mieszkał za Sowietów niedaleko tego domu. Z daleka słychać było tylko ruską mowę z czego wywnioskowaliśmy, że Dom ten służył przede wszystkim, a chyba i w zupełności tylko dzieciom funkcjonariuszy sowieckiego establishmentu. Coś w rodzaju “Nur für Deutsche”.

Już wspominałem, że brat Fredek z żoną Małą wrócili z Krakowa i zamieszkali u nas. Rodzina Mali mieszkała w Stebniku (wieś niedaleko Drohobycza). Ojciec Mali prowadził tam sklep mięsny. Matka Mali była rodzoną siostrą matki mojej przyszłej żony, Giny. Obie matki często się spotykały u Mali tzn. u nas.

Fredek kupił sobie rower i nasz najstarszy brat, Szlomku, który już zdołał się urządzić jako dentysta w szpitalu wojskowym na terenie rafinerii w Polminie, załatwił Fredkowi posadę fryzjera w tymże szpitalu. Na Polminie i w przyległej okolicy stacjonowała jednostka artylerii przeciwlotniczej. W szpitalu nigdy nie byłem, natomiast Fredek mnie często zabierał do swojej fryzjerni na zewnątrz szpitala. Między żołnierzami tej jednostki było kilku Żydów i często, gdy w pobliżu nikogo nie było lubili sobie ze mną “pobałakać” po żydowsku. Bardzo ich interesowało jak ludzie żyli u nas przed wojną. Z ich opowiadań wywnioskowałem, że niełatwe tam u siebie mieli życie.

Pracę Fredek miał niezłą. Często przywoził do domu różne rzeczy dostępne w specjalnym sklepiku dla żołnierzy. Czasem nawet przywoził na swoim rowerze drewniane deszczółki z opakowań. Tym oni palili w domu. Nastała zima, w owym roku wyjątkowo ostrzejsza aniżeli zazwyczaj. Urodził im się synek, Noluś. Moja mama odbierała poród; była przeciwieństwem akuszerką. Do szpitala dla rodów wtedy się nie chodziło; wszystko odbyło się w domu.

Fredek zainstalował na środku pokoju żelazny piecyk, tzw. “kozę”. Służył do gotowania i dla ciepła. Mała nie chciała żadnej “spółki” z moją mamą. Opału nie było a ciepło musiało być ze względu na maleństwo. Ażeby temu jakoś zaradzić, zawsze późnym wieczorem kiedy ulice były puste wyruszaliśmy z nim na “drzewne łowy”. Każdy drewniany, mocno chwiejący się parkanik stawał się naszym łupem. Cienkie, samotnie stojące słupki na których kiedyś zawieszano reklamowe szyldziki były już “nasze”. Do tej roboty braliśmy ze sobą piłkę do drzewa. Za transportowy środek służył Fredka rower. W ogóle, to ten mój brat Fredek był bardzo zaradny; wszystko potrafił. Zainstalował nawet w ich pokoju światło elektryczne. Później zrobił to samo dla nas. Jak on to zrobił, do kogo i jak się podłączył - pojęcia nie mam. Szczęście, że żadnej kontroli nie było. Przy świetle nawet małej żarówki już inaczej wyglądało. Fredek był pantoflarzem w pełnym tego słowa znaczeniu. Swoją Małą kochał bezgranicznie. Nas, Mała nie lubiła, a szczególnie moją mamę. Dlaczego ? Przecież niczego złego od niej nie zaznała. W końcu, to nasza mama ich przyjęła i oddała im jeden z naszych pokoi. Czyżby w grę wchodził ten odwieczny syndrom teściowa versus synowa ? Przez nią stosunki między nimi a nami zawsze były napięte. Wyjątek stanowił nasz ojciec; jego to ona tolerowała i przy tym trochę i mnie.

Kiedy nasz brat, Szymon zaczął pracować w handlu, bardzo im pomagał, chociaż przed wojną stosunki między nim a Fredkiem nie były za dobre. Miał ten Szymon dobre "karciane" serce. Gdyby nie on, to w tę pamiętną zimę bylibśmy chyba zginęli z głodu.

W zimowe wieczory u Fredka grywali w karty ale to już nie było to co kiedyś. Partnerem był sąsiad, od urodzenia inwalida o kulach. Szymon kiedy wygrywał u niego, to pieniądze dawał Mali: Kup coś sobie i dziecku. O tym inwalidzie – kalece chcę opowiedzieć następującą historię.

W pierwszym okresie po wkroczeniu Sowietów nadal handlował owocami na rynku, a w piątki sprzedawał ryby – karpie. Kiedyś w jakiejś speluncie mocno się przegrał i to co do grosza. Na drugi dzień, w piątek nie miał za co wykupić tę balię ryb. Wstał bardzo wcześnie rano gdy jeszcze było ciemno, ubrał się i zbudził ojca mówiąc, że pilnie musi wyjść coś załatwić. Opowiedział gdzie, kto i co jest jemu winien i że ten ktoś obiecał, że mu kiedyś te pieniądze zwróci. W każdym razie nie teraz kiedy właśnie on tak bardzo je potrzebuje. Ojciec niczego nawet nie próbował się domyśleć tylko kiwał głową mruczając swoje modlitwy. Kaleka wyszedł i pokulał do parku gdzie był staw. Dobrał się do samego brzegu, kule zostawił i wpłynął do wody. Chciał się topić, a tu woda go nie przyjmuje i ciągnie na środek stawu. Siedzi w tej wodzie, próbuje machać tymi sparaliżowanymi nogami, a woda jak gdyby nigdy nic – utrzymuje go na powierzchni i nie ciągnie w dół. Ciemno jeszcze było i żywa dusza tamtędy nie przechodziła. Siedzi i siedzi w tej wodzie, rusza nogami i rękami – nic, bez skutku. Widocznie mu się ta "zabawa" znudziła, zaczął rękami wiosłować w kierunku brzegu gdzie zostawił swoje kule. Doczołgał się do skarpy, udało mu się dostać kule, cały mokry zaczął kuśtykać w kierunku rynku. W końcu się dobrał do miejsca gdzie zazwyczaj siedział ze swoją balią. Zapelnili mu ją rybami za gwarancją jego brata który obok miał swoje stoisko ryb. Cały wyglądał jak złodowaciały "compel", bo już w tym czasie zaczynały się przymrozki. Wszystko na nim pokryło się ciekłą warstwą lodu, a on jak gdyby tego nie czuł. Zaczął się ranek i klienci zaczęli się pojawiać. Wszystkie ryby sprzedał i pod koniec wrócił do domu ażeby się przebrać. Że się wtedy nie nabawił śmiertelnego zapalenia płuc to chyba jakiś cud. Może to, że był sparaliżowany do połowy, dolna część ciała nie przewodziła zimna do górnej części. To, że się nie utopił możnaby ewentualnie wytłumaczyć tym, że ludzie o sparaliżowanych dolnych kończynach potrafią się utrzymać na powierzchni wody (Prezydent Roosevelt ?). Kto go tam wie, tego naszego kalekę ? Fakt, że się nie utopił i został przy życiu. Dopiero potem, po dwóch latach ci przekłęci bandyci podobno jednym strzałem wyprawili go na tamten świat – na miejscu, bez wozienia do Bełżca albo do Bronicy (Bełżec – gazowanie, Bronica – las pod Drohobyczem gdzie rozstrzeliwano).

O tym wszystkim ten kaleka opowiadał w domu mojego brata, Fredka. Po tej całej historii mimo wszystko żyć mu się chciało. Powiadają, że tak to czasem bywa u niedoszłych samobójców. Ja to wprawdzie znam przypadek odwrotny; z innym naszym sąsiadem, Erlichem, o czym opowiedziałem na poprzednich stronach tych zapisów.

Po wycofaniu się Niemców z Drohobycza i wkroczeniu wojsk sowieckich pojawiło się wielu Żydów - uciekinierów spoza Linii Curzona. Nieszczęśnicy, bez dachu nad głową i bez środków do życia. Jeżeli ktoś miał chociaż dalszych krewnych w Drohobyczu to jeszcze jako tako się urządzał. Do nas zajechała kuzynka z mężem i trojgiem dzieci. Uciekli z Gorlic gdzie mąż kuzynki pracował na kopalniach ropy naftowej. Potem z Gorlic przenieśli się do Borysławia skąd dwa lata przedtem wrócili do tychże Gorlic. Przed nimi pojawił się inny kuzyn, z Sanoka, pobożny Żyd, z brodą i pejsami. Kiedyś wyuczył się zawodu drukarza, do czego teraz przyszło mu wrócić. U nas urządzono mu legowisko w kuchni, na "bambetlu". Po krótkim czasie zgolił brodę i pejsy i dobrowolnie zgłosił się na roboty do okręgu Donieckiego. Nasz z nim kontakt się urwał i to na zawsze. Widocznie zginął w czasie zawieruchy wojennej.

Do czego niedługo po wkroczeniu Sowietów się zabrali i to z dużą gorliwością to wywózki. Pierwszymi ofiarami były polskie rodziny w których ktoś przedtem był urzędnikiem municypalnym, nawet niskiego szczebla. I nie tylko tacy; w wielu wypadkach wystarczającym powodem była sama narodowość polska. Bardziej znani funkcjonariusze rządowi lub

municipalni opuścili miasto jeszcze przed wkroczeniem Sowietów, z wojskiem albo indywidualnie. Wszyscy ci parli w kierunku granicy rumuńskiej albo węgierskiej.

Polaków wywożono w oddalone, przeważnie syberyjskie rejony Rosji. W drugiej kolejności byli Żydzi zakwalifikowani do kategorii wyzyskiwaczy i eksploatatorów czyli tzw. burżuazje według kryteriów bolszewickich. Nie mało ważnym faktorem dla tej kwalifikacji było jakie dana rodzina zajmowała mieszkanie, a mieszkania były nowym władzom na zabój potrzebne. Ci nowo sprowadzeni ze wschodu funkcjonariusze czekali na nie z niecierpliwością. Oni że wypatrywali co lepsze mieszkania i wskazywali je tym którzy decydowali o wywózkach. A że w Drohobyczu było trochę bogatych Żydów więc było w czym wybierać. W odróżnieniu od Polaków, tych Żydów nie ładowano do bydłowych wagonów i wysyłano w głąb Rosji. Ich wysiedlano tylko poza obręb strefy przygranicznej do której Drohobycz został zaliczony. W ten sposób obeszlę się z rodziną mego wujka, właściciela sklepu żelaznego.

Powiedzieć, że moja mama im tak bardzo współczuła – nie mogę. Moja mama wciąż miała w pamięci krzywdę jaką ciotka, rodzona siostra mojego ojca wyrządziła naszej rodzinie. To przecież ta że ciotka ze swoim mężem “wykołowała” mojego ojca, że podpisał ten oszukańczy dokument w którym wyrzekł się wszelkich roszczeń spadkowych po swoich rodzicach na rzecz obu sióstr. Ważną częścią masy spadkowej był duży dom z sadem owocowym przy ulicy Szaszkiewicza. Czasem tylko, bardzo rzadko, pozwalano mnie z bratem Szymonem na zerwanie kosza gruszek. Moja mama tę krzywdę pamiętała do końca życia i nigdy im nie wybaczyła. Ojciec chyba trochę trzymał stronę swoich sióstr.

Po pewnym czasie zaczęła się tzw. “paszportyzacja” tzn. wydawanie dowodów osobistych co było równoznaczne z przyjęciem sowieckiego obywatelstwa. Ukraińcom zza Sanu dawano do wypełnienia ankiety według których mieli się zadeklarować czy są gotowi przyjmując obywatelstwo sowieckie, czy też chcą wrócić do swoich poprzednich miejsc zamieszkania po drugiej stronie granicy, pod okupację niemiecką. Ci ludzie byli w rozterce. Obawiali się, że jeżeli przyjmą obywatelstwo sowieckie to już nigdy potem nie będą mogli wrócić do swoich domostw. Tych wszystkich którzy odmówili przyjęcia obywatelstwa i wyrazili chęć powrotu, pewnej nocy załadowano do bydłowych wagonów i wywieziono w oddalone tereny – na Syberii. Polacy z reguły odmawiali, z wiadomych zresztą przyczyn, i ich spotkał ten sam los co żydowskich uciekinierów. A mówią, że Żydzi to mądry naród, jakkolwiek w tym konkretnym przypadku większość z nich uratowała sobie życie; bo gdyby podpisali i zostali, to byłiby podzielili los polskiego żydostwa; w tym drugim przypadku to jednak mieli jakąś szansę przeżyć zysk. Nie wszyscy przecież zginęli w zsyłce. Pomimo bardzo ciężkich warunków, wielu jednak przeżyło. Złośliwcy i antysemita na pewno by powiedzieli: Żydzi są chytry i zawsze potrafią się wykręcić. Z powyższego można też wyciągnąć wniosek, że nie tylko Temida, ale i los bywa ślepy.

Sowieci zaczęli wydawać miejscową gazetę po ukraińsku – “Bolszewicka Prawda”. Centralne rosyjskie gazety – “Prawda” i “Izwestie” (Wiadomości) wydawane w Moskwie przychodziły z dużym opóźnieniem. Zresztą, nikt z miejscowych i tak ich nie czytał, i to nie tylko z powodu nieznamości języka rosyjskiego. Na temat tych dwóch centralnych gazet już wtedy krążyła złośliwa anegdota (nie tylko złośliwa, ale również i niebezpieczna): że w “Prawdzie” nie ma “Izwestii”, a w “Izwestiach” nie ma “Prawdy”. W tej drohobyckiej “Bolszewickiej Prawdzie” było tyle samo prawdy co w moskiewskiej “Prawdzie”.

We Lwowie wydawano gazetę po polsku “Czerwony Sztandar”; czasem trafiała ona do Drohobycza. Wprawdzie po polsku, ale z tzw. drętwą mową-trawą, dotąd obcą polsko języcznej publice. Na ulicznych słupach zainstalowano głośniki zwane “kukurużnikami”. Rzadko kto, a raczej nikt z miejscowych tego nie słuchał, bo było nieciekawe.

Jakiegoś ogólnie publicznego życia kulturalnego raczej nie notowano, a to co rzucano na ten kulturalny rynek było raczej ubogie. Rządziła prymitywna indoktrynacja i brutalna propaganda. Otwarto zaczęty przed wojną ukraiński teatr. Była też czynna przed wojną wybudowana sala teatralna w b. Domu Legionowo Strzeleckim i w Sokole. Sztuczki były wystawiane w tych salach odpowiadały ówczesnym doktrynerskim pryncypom tzw. socrealizmu.

Drohobyckiej miejscowej publice to nie odpowiadało. Bilety wstępu były więcej aniżeli tanie i mimo to, ci którzy przed wojną do teatru nie chodzili, za Sowietów chodzić nie zaczęli, a ci którzy kiedyś chodzili i to nawet często, zaczęli chodzić coraz rzadziej, a potem wcale.

W kinach wyświetlano tylko sowieckie filmy. Wszelkie zachodnie filmy, według sowieckich określeń dekadencjonalne, zdjęto z ekranów w sposób absolutny.

Nieco później zarządzono wybory do tzw. Zgromadzenia Narodowego które miało "uprawomocnić" przyłączenie Zachodniej Ukrainy do sowieckiej i w tych ramach figurować jako jednolita, zjednoczona republika w rodzinie sowieckich narodów. Cały ten "cyrk" miał rzekomo być w naszym imieniu i na naszą prośbę. Identyczną farsę zainscenizowano na terenach Zachodniej Białorusi.

Na odgórne instrukcje, miejscowe władze próbowały werbować ludzi z zachodnich terenów do pracy we wschodniej Ukrainie. Widocznie chodziło o to, ażeby pokazać tym ludziom z dawnej, "zacołanej" Polski jak "dobrze" i "szczęśliwie żyją i pracują" ludzie pod sowiecką władzą. Udało się sklecić grupę złożoną z przedwojennych entuzjastów, oczywiście samych Żydów, i posłać ich do Donbasu. Początkowo nie było od nich żadnych wiadomości. Później zaczęły wreszcie przychodzić listy, i to jakie listy?! W "zakamuflowanej" formie ci wolontariusze dawali do zrozumienia, że taką nędzę, u większości prostych ludzi tam, trudno było spotkać nawet w przedwojennej, kapitalistycznej Polsce. Puste sklepy do których tylko od czasu do czasu "rzucano" jakiś towar. Cukier, mąka, oliwa, krupy itp. były prawie, że luksusem. Kolejki kilometrowe. Nocą trzeba było stawać dla zajęcia "dobrego" miejsca w kolejce i nawet wtedy okazywało się często, że towaru zabrakło. Ludzie się rozchodzili by następnego dnia lub nocy powtórzyć to samo. Tych naszych ludzi okrażano: ach, jaka piękna sukienka, jaka śliczna koszula, jaki wytworny garnitur itd. itp. Ciągłe pytania: czy to wszystko było w tej pańskiej Polsce? Wierzyć nie chcieli, że można było wejść do sklepu i wszystko to kupić, bez kolejki, byleby pieniądze były. A że pieniądze były, tylko nie u wszystkich, to już inna sprawa. Również i w Polsce nędzy nie brakowało. Ale aż takiej? Tego ci nasi ludzie sobie nie mogli wyobrazić. Jakże więc tam u nich ludzie żyli? Pojęcia nie mam. Widocznie jakoś tam żyli, bo i umrzeć nie jest tak łatwo. Jeden z tych szczęśliwców któremu udało się później wrócić, opowiadał, że kiedyś stał w kolejce po cukier, wtedy jeden ze "stojaczy", taki bardziej uświadomiony ideologicznie, wystąpił z kolejki i zwrócił się do pozostałych: towarzysze dajcie temu towarzyszowi wejść bez kolejki; on z dawnej Polski i od lat cukru nie widział. To, że były i w Polsce takie wsie albo miasteczka w których dzieci rzadko cukier widywały, to też prawda.

A jak było w późniejszych czasach? Nie wiem. Może coś się tam jednak zmieniło. Starzy, mądrzy ludzie mówili, że nie ma rzeczy nie do ścierpienia; trzeba się tylko wpięć przyzwyczaić a potem polubić i wtedy łatwiej się wszystko znosi. O tym sposobie już przedtem wspominałem.

Na poprzednich stronach wspominałem o tzw. "mocnych" w naszym mieście. Za sowieckich czasów to wszystko zniknęło. Nie było "mocnych". Mocna była tylko władza i jej organy. Milicjanci nie nosili pałek tak jak przedwojenna policja. Pałki to przecież niehumanitarne i brzydkie atrybuty kapitalistycznej policji. Ci obecni milicjanci to przecież przedstawiciele narodu i właśnie oni ten naród nie tylko reprezentują, ale go też bronią przed antynarodowymi elementami. Wprawdzie bez pałek, oni mają do dyspozycji znacznie lepsze i skuteczniejsze środki wypracowane przez ich kolegów i nauczycieli z N.K.W.D. Że jednym ze środków było bicie? Oczywiście, że było. Przedwojenna policja również czasem biła, różnica jednak między tymi a przedwojennymi polegała na tym, że przed wojną jeżeli oskarżony na rozprawie się poskarżył, że go bili i że w ten sposób wymuszono na nim zeznania, sędzia zazwyczaj zwracał sprawę do ponownego przebadania. U Sowietów odwoływanie zeznań należało do rzadkości, a jeżeli się zdarzało, to marny widok i garbaty los takiego oskarżonego. Już oni mieli te swoje sposoby i środki ażeby on to "odszczekał".

Cała kadra oficerska w milicji i wszyscy odpowiedzialni naczelnicy i funkcjonariusze zostali przywiezieni ze wschodu, gdyż miejscowym nie dowierzali. Ze wschodu jednak nie mogli

nawieźć tą podstawową masę “szaraczków”. Zaczęli więc werbować co niektórych miejscowych młodzieńców, bo to i mundur dający poczucie władzy, lepsze płace, specjalne przydziały produktowe i różnego rodzaju ulgi i przywileje. Polaków między nimi nie było. Czy byli Ukraińcy ? Nie wiem. Może być że ściągnęli jakichś chłopków z okolicznych wsi kusząc ich wspomnianymi przywilejami. Ukraińców byłych komunistów nie brali bo im po prostu nie dowierzali, tak zresztą jak byłym żydowskim komunistom. Najwyższym stopniem służbowym do jakiego miejscowi milicjanci dochodzili to tzw. “dzielnicowi”. Nosili oni mundury z dużym herbem na rękawie. Niektórych z nich znałem, nie w sensie osobistym, tylko wiedziałem kto oni są i z jakich rodzin pochodzą. Żaden z moich braci nie próbował się tam dostać. Sędzów też nawieźli swoich. Byłem raz na takiej rozprawie gdzie sądzili niejakiego Lebera, ojca mojego szkolnego kolegi. Leber pracował jako ślusarz w tym właśnie sądzie i przez to miał dostęp do specjalnego sklepu zwanego konsumem. Miał żonę i troje dzieci. Ponieważ zarabiał mało, to ażeby utrzymać rodzinę, od czasu do czasu robił w tym sklepie nieco większe zakupy i potem odsprzedawał je na rynku, oczywiście po wyższej cenie. Pewnego razu przyłapali go na kupnie aż 6-iu kilogramów cukru. Posadzili go i niedługo potem sądzili. Sędziną była kobieta, Rosjanka, w asyście dwóch miejscowych ławników-figurantów; bo przecież sąd nazywał się “narodnyj” czyli ludowy. Ta sędzina wlepiła mu 6 lat (widocznie po jednym roku za każdy kilogram ?) za spekulację. Pamiętam jak żałośnie się bronił, że żona, małe dzieci które trzeba wykarmić a zarobek nie wystarczał. Byłem na tej rozprawie. Serce się krajało słuchać. Adwokata żadnego nie było. Ta kamienna, okrutna twarz sędziny nic w sobie kobiecości nie zawierała. Pozostała mi w pamięci do dzisiaj. Ławników ni zapamiętałem; oni zresztą i tak nic nie mieli do gadania. Przed ogłoszeniem wyroku z nimi trochę poszeptala a oni tylko potakująco kiwali głowami. Lebera wystali gdzieś do jakiegoś dalekiego lagru; tam też musiał pracować i ciężko się naharować - bez pieniędzy, za nędzną “pajkę” (porcję) chleba i “bałandę” (zupę). Leber wojnę przeżył. Spotkałem go później, już w Izraelu. Żona z dziećmi podzieliła los większości drohobyckich Żydów. On sam zmarł na chorobę Alzheimera.

Z tego okresu zapamiętałem również inny, charakterystyczny przypadek sowieckiej sprawiedliwości. Starszy człowiek, bogobojny Żyd, pracował w rafinerii “Galicja” wiele lat przed wojną. Od dyrektora Galicji, Rotenberga, miał zezwolenie ażeby w każdy piątek wynisł przez przechodnią bramę kilka (4 albo 5) świec parafinowych ażeby żona je zapaliła i mogła w piątkowy wieczór pomodlić się przy nich. Ten człowiek pracował od wielu lat w rafinerii, gdzie te świece produkowano.

Po przyjsciu Sowietów ten zwyczaj utrzymywał i nie przyszło mu do głowy ażeby zwrócić się do kogokolwiek o odnowę zezwolenia. Bo to, że obecni władcy Galicji całymi wagonami wywozili i na lewo sprzedali różnego rodzaju produkty naftowe z korzyścią dla własnych kieszeni – to nic. Zgodnie z sowieckim pryncypem co innego to kilka świeczek groszowej wartości i to nazywało się rozgrabianiem socjalistycznej własności, a zupełnie co innego tonowe ilości; tego kradzieżą nie nazywano; po “sądowemu” to miało jakąś inną nazwę. Jaką ? Nie wiem. Jak sami naczelnicy opowiadali, u nich w sowietach to należało do codziennych praktyk. Należało tylko dobrze uważać ażeby nie popaść, bo jak się popadło to rzeczywiście kary były bardzo wysokie. Nie znaczy to, że przed wojną nie było tego rodzaju kradzieży. Na pewno były tylko może nie w takiej skali. Złośliwcy twierdzili, że na tym polega wielkość i siła sowieckiego systemu gospodarczego. Wszystkiego przecież nie ukradną. Zawsze coś tam pozostanie. W ich systemie pojęcie bankructwa nie istniało. Wracając do tego Żyda - świeczarza. Pewnego piątku przyłapali go na bramie. Tłumaczył się, że robił to od lat i że miał na to zezwolenie poprzedniego dyrektora. Nic nie pomogło. Zrobili mu sąd i zamiast go ostrzec, po ludzku, że tego robić nie wolno i żeby to się więcej nie powtórzyło – dali mu 5 lat i zesłali do jakiegoś lagru na Syberii. Na ile wiem, nigdy stamtąd nie powrócił. Był słabego zdrowia i musiał umrzeć z głodu i wycieńczenia – tak jak wiele milionów tych co zapełniali archipelag GUŁAG, o którym tyle napisano na zachodzie po II-iej wojnie światowej.

Zbliżała się pierwsza wojenna zima 1939-go roku. Po pierwszych przymrozkach zaczął padać gęsty śnieg i w ślad za tym nastąpił siarczasty mróz. Właśnie w tym czasie rozpoczęła się wymiana ludności. Na dawnych terenach polskich obecnie okupowanych przez wojska sowieckie była pewna ilość niemieckich wsi na które składały się gospodarstwa całkowicie niemieckie. Były to gospodarstwa zamożne, dobrze prowadzone i wydatnie wyróżniające się na tle gospodarstw ukraińskich i polskich w sąsiedzkich wsiach.

Niemcy, po klęsce I-ej wojny światowej i później, po dojściu Hitlera do władzy w 1933-ym roku oprócz ostrego kryzysu gospodarczego zaczęły również odczuwać dotkliwą depresję demograficzną. Powojenne trudności, galopująca inflacja nie stanowiły dostatecznego bodźca do przynoszenia na świat dzieci. W związku z tym narodowi niemieckiemu, germańskiej nacji groziła degeneracja.

Hitler, po 33-im roku uznał ten problem za palący i jeden z najważniejszych, mając na uwadze zwiększenie tzw. "Lebensraumu", do czego również niezbędne były duże rezerwy ludzkie. Zaczął więc szukać wszędzie gdzie tylko było możliwe: pół-Niemcy, folksdojczce, Niemcy osiadli na terytoriach nie niemieckich. W ten właśnie sposób stanęła na porządku dziennym sprawa wymiany ludności niemieckiego pochodzenia zamieszkałej na terenie dawnej Polski, obecnie anektowanej przez wojska sowieckie. Przedmiotem wymiany miała być ludność ukraińska z za Sanu, zamieszkała na dawnych ziemiach polskich obecnie okupowanych przez Niemców.

Która ze stron była z tej transakcji zadowolona, nie bardzo było pewne. Nie przypuszczam, ażeby Ukraińcy ze swoim wybujałym poczuciem ukraińskiego nacjonalizmu aż tak bardzo mieli ochotę popaść pod bolszewickie panowanie. Dla nich większego od bolszewików wroga chyba nie było. Straszło ich też widmo kołchozów. Dopiero później, do pierwszej kategorii wrogów doszłusowali Niemcy, kiedy stało się jasne, że wcale nie mają zamiaru dotrzymać poprzednich przyrzeczeń jeżeli chodzi o utworzenie tzw. "Samoistnej", Niezależnej Ukrainy.

Jeżeli chodzi o Niemców zamieszkałych na dawnych ziemiach polskich – trudno powiedzieć. Tereny te były wprawdzie pod jurysdykcją Państwa Polskiego, ale za to ziemia na której gospodarowali oni i ich przodkowie przez wiele dziesiątków a może i setek lat stanowiła ich prawowitą własność, której nikt nie był w stanie im odebrać. I to gwarantowało im Państwo Polskie do którego przedtem specjalną sympatią nie pałali. Przywiązanie rolników do własnej ziemi jest dobrze znane. Poza tym, musieli chyba coś słyszeć o kolektywizacji i przymusowym zaganianiu do kołchozów. Byli więc w poważnej rozterce i pomimo to, musieli tą ziemię zostawić. Należy przypuszczać, że według umowy sowiecko-niemieckiej, Sowietom mieli tym kolonistom niemieckim w jakiś sposób "pomagać" w podejmowaniu decyzji zadowalających hitlerowskich partnerów. Z perspektywy minionych lat, można przypuszczać, że Niemcy się w końcu nieźle urządzili. Co się natomiast tyczy Ukraińców, to nasuwają się duże wątpliwości. Bo niby dlaczego tym przesiedlonym Ukraińcom miałyby być lepiej aniżeli ich nowym braciom-starożytom ?

Przedtem wzorowe gospodarstwa niemieckie na pewno uległy dewastacji i zniszczeniu na skutek nieudolnego gospodarowania, albo też z powodu późniejszej kolektywizacji. Sowietom chyba nigdy się na starych błędach nie uczyli.

Myśmy ten exodus oglądali. Przez nasze miasto przejeżdżały furmanki załadowane ruchomym dobytkiem nadającym się do przewiezienia, małymi dziećmi opatulonymi piernatami mającymi ich uchronić przed siarczystym mrozem. Co trzeba przyznać, że niemieckie władze do każdej grupy furmanek przydzielali swoich konwojentów w wojskowych mundurach wermachtu. Widocznie nie za bardzo polegali na swoich sowieckich partnerach obowiązkiem których, według umowy, miało być zapewnienie bezpieczeństwa przesiedleńców aż do mostu granicznego na rzece San oddzielającą "przyjazne" armie sowieckie od niemieckich.

W późniejszych miesiącach 39-go roku sowiecka administracja postanowiła wznowić naukę w średnich szkołach, w tym również w tzw. Średniej Szkole Technicznej przy ulicy Rakowieckiej, niedalego głównej stacji kolejowej. Ci co przedtem chodzili do tej szkoły tzn.

studenci wyższych klas mogli naukę kontynuować. Dla takich żadne egzaminy nie były potrzebne. Co innego to nowowstępujący do pierwszych klas. Jak już wcześniej wspominałem, do wojny szkoła ta była dosyć ekskluzywna. Czesne było wysokie. Szkoła przygotowywała techników dla przemysłu naftowego. Podobno nawet była pomocna przy urządzaniu swoich absolwentów do pracy w tym przemyśle. Nie wiem dokładnie do kogo ta szkoła należała, kto był jej właścicielem. Zdaje się, że inż. Czajka który zamieszkiwał na terenie szkoły, o czym już była mowa.

Już przedtem wspominałem, że szkoła ta zawsze była moim najskrytszym, nieosiągalnym marzeniem z punktu widzenia materialnego jak i przedmiotowego. Ze szkoły powszechnej wiele nie wyniosłem a szczególnie jeżeli chodzi o przedmioty ścisłe jak matematyka i fizyka. Tak więc, przy przejściu przez filtr egzaminacyjny moje szanse nie były obiecujące. Za sowieckich czasów szkoła ta została przemianowana na technikum mechaniczne ze specjalnością zimnej obróbki skrawaniem. Podlegało ono ministerstwu przemysłu miejscowego. Pomimo "zmiany szyldu", ze szkoły tej nie zrezygnowałem.

Dyrektorem szkoły mianowano kobietę z tytułem inżyniera kolejowego. W "cywilu" była żoną pierwszego sekretarza wojewódzkiego komitetu partii. Zastępcą dyrektora został miejscowy Ukrainiec, inż. Sowiak, podówczas porządny człowiek. Po wojnie ktoś mi opowiedział, że w czasie okupacji ześwińił się współpracą z Niemcami. W szkole wykładało również kilku inżynierów - Polaków z przedwojennego zespołu. Pozostał mi w pamięci inż. Marecki - wykładowca rysunku technicznego, młody inżynier absolwent Politechniki Lwowskiej inż. Skala, wykładał technologię materiałów. Przypominam sobie również inż. Chomyszyńca, wykładowcę geometrii wykreślnej, zdaje się spolszczonego Ukraińca; był on również uznanym sędzią piłkarskim. Pamiętam również inż. Karpa też od geometrii wykreślnej. W sposób szczególny zapamiętałem wykładowcę matematyki, uchodźcę z Krakowa któremu zawdzięczam to, że nauczył mnie matematykę rozumieć a nawet polubić; to tylko dzięki jego "nękającej" metodzie. Na każdej lekcji wzywał mnie od tablicy i "znęcał" się nademną, aż do skutku, aż zrozumiałem. W pierwszym okresie wykładał w tej szkole absolwent Politechniki w Pradze inż. Holzman, po wojnie Drzewiecki. Właśnie do niego podpadłem na egzamin wstępny z matematyki. Przypominam sobie, że na tablicy napisał  $1/1000$  i kazał mi to rozwiązać. Patrzyłem na to "dziwo" przez dobrych kilka chwil i potem bąknąłem: to jest niemożliwe. W końcu jakimś cudem prześlizgnąłem się przez to sito egzaminacyjne i to wcale nie na podstawie posiadanych wiadomości ile z nieprzemyślanej chęci do nauki jaką chyba egzaminatorzy musieli zauważyć; tak się przynajmniej mnie wydawało. Przyjęto mnie i zaznaczono, że jeżeli w przeciągu pierwszego kwartału nie zdołam nadrobić moje nraki, to będę musiał wrócić do ślusarki. Pomimo, że przyjęcie było warunkowe - byłem wniebowzięty.

Z inż. Holzmanem po wojnie, w Polsce spotykaliśmy się niekiedy na niwie służbowej. Pracowaliśmy w tym samym resorcie, w przemyśle chemicznym w Warszawie. Ja już byłem po wojnie wystudiowanym inżynierem. Przypomniałem mu to "okrutne" zadanie które mi wtedy zadał. Uroczy człowiek, dowcipny, elegancki, podobny do hollywoodzkiego amanta. Żonę miał równie przystojną; kiedyś nazywano ją drohobycką Ritą Hayfort. Obaj uśmieliśmy się z tych wspominków.

Przedmiotów ogólnych w naszej szkole technicznej uczył nas mój przedwojenny nauczyciel religii w szkole powszechnej. W obecnej szkole był on przewodniczącym rady pedagogicznej, o czym już przedtem wspominałem. Sekretarzem szkoły i późniejszym wykładowcą przedmiotów ogólnych był W.K. W czasie wojny niemiecko-sowieckiej jego udziałem było przeżycie którego nigdy i w żadnych okolicznościach się nie zapomina. W 42-ym roku w Stalingradzie, niewinnie oskarżony, został skazany na śmierć. Siedemnaście (17) dni przesiedział w celi "śmiertników" (skazanych na śmierć) w oczekiwaniu na wykonanie wyroku. Jakimś cudem go zwolnili. Szczegółów nie znam. Po wojnie, w Polsce zajmował wysokie stanowisko w dyplomacji. Zmarł w Izraelu przeszło 15 lat temu.

Ćwiczenia warsztatowe - ślusarstwo, obróbka skrawaniem, kowalnictwo, spawalnictwo prowadzili instruktorzy: Izku Wołosiański ( o nim już pisałem), Jonku Brener, Piniu Lerner, Oleś Tatarski, Majorku Berlin.

Naczelnym inżynierem szkoły był brat mojego kolegi, N.A., absolwent jednej z włoskich politechnik. Później opuścił szkołę ze wspomnianym inż. Holzmanem i obaj przeszli do pracy w przemyśle.

Oficjalnym, a właściwie faktycznym językiem wykładowym był ukraiński. Literaturę ukraińską wykładał miejscowy Ukrainiec o nazwisku Kołodrubeć. Nieszczęsna figura, ale porządny człowiek. Do szkoły przyszedł prosto z polskiego więzienia, w podarowanym garniturze nie na niego szytym. Wykłady literatury ukraińskiej zaczął od uczenia nas "Międzynarodówki" ówczesnego hymnu państwowego Z.S.R.R. Później, w 41-ym roku kiedy Sowieci opuszczali Drohobycz, Kołodrubca rozstrzelali. Za co ? To chyba tylko oni wiedzieli. A może i nie ?

Pewnego dnia oznajmiono nam, że studentom naszej szkoły przysługują stypendia w wysokości 72-ch rubli miesięcznie. W owym czasie była to wcale nie bagatelna suma, szczególnie dla takich jak ja. Wielka radość zapanowała. Ja chyba byłem w pierwszych rzędach tych potrzebujących z uwagi na sytuację materialną moich rodziców. Dla naszej rodziny była to duża pomoc. Pierwszego dnia każdego miesiąca w kasie szkoły dostawaliśmy pieniądze. Moje stypendium w tym samym dniu oddawałem mamie.

Klasy (u nas nazywano je kursami), były koedukacyjne, tzn. chłopcy uczyli się razem z dziewczętami. Wszystko młode oprócz jednej albo dwóch dziewcząt o parę lat starszych. Uczniowie się rekrutowali z Żydów i Ukraińców. O ile pamiętam, Polaków nie było. Część uczniów dojeżdżało pociągiem z Borysławia. Ze mną w tej samej klasie był mój kolega, Majer. Pewnego dnia nie przyszedł do szkoły. Wieczorem byłem u niego w domu i dowiedziałem się, że poprzedniej nocy była u nich rewizja i że zabrali jego brata, Chaima, o czym już wspomniałem na poprzednich stronach. Majer już do szkoły nie wrócił; zaczął pracować ażeby pomóc w utrzymaniu rodziny.

Uczyłem się z zapałem. Matematykę opanowałem niezłe i to nawet w takim stopniu, że należałem do pierwszej grupy "piątkowiczów" (piątka była najwyższym stopniem) w naszej klasie w tym przedmiocie. Ćwiczenia warsztatowe sły mi lepiej od innych chłopaków. Miało się przecież tę praktykę w warsztacie ślusarskim Russa. Dziewczynom w tym przedmiocie było niełatwo, a że instruktorzy też nie byli starzy i przejawiali słabość do tzw. płci pięknej więc im pomagali i to bardzo wydatnie.

W tym czasie sprzedałem sowieckiemu oficerowi którego brat Fredek sprowadził z Polminu ramę roweru "Royal Star" srebrzystego koloru. Ramę tą trzymałem w naszej spiżarni od pierwszych dni września 39-go roku. Za uzyskane pieniądze kupiliśmy wprawdzie starą dryndę, ale na chodzie. Do szkoły zacząłem jeździć rowerem co było dużym ułatwieniem.

Do naszej szkoły sprowadzono pewną ilość chłopców i dziewcząt ze wschodnich terenów Ukrainy. Dla nich utworzono oddzielne klasy. Widocznie chodziło o to ażeby nie "zarazili" się jakimiś niepożądanymi poglądami. Zorganizowano tzw. "obszczeżyta" czyli bursy. Wybrali spośród siebie starostę który całkiem dobrze się o nich troszczył. Mieli swoją, oddzielną organizację komsomolską do której nawet zapraszali miejscowych. Tak za wiele chętnych nie było i co dziwniejsze, z tej robotniczej młodzieży, takich jak my z Majerem. Na odwrót – pchali się do nich chłopcy z tych bardziej zamożnych rodzin. Czym się kierowali ? Chyba nie pobudkami ideologicznymi. Raczej chodziło o względy praktyczne, bo to różnego rodzaju ułatwienia, ulgi darmowe bilety itp. Majer nie poszedł właśnie ze względów ideowych. Ja to raczej z przekory, jakkolwiek bardziej byłem do tego predysponowany, bo jeszcze przed wojną ulegałem lewym wiatrom. Do naszej szkoły często przychodzili lektorzy z prelekcjami na różne tematy, w tym i międzynarodowe. Antypolskość włączano na siłę do głowy. Biedni byli ci wykładowcy Polacy. Dla nich to było sypanie soli na otwarte rany, a uczestniczyć w takich zebraniach musieli – z wiadomych względów.



Propaganda anty, bo i taka była, koncentrowała się głównie w boksach klozetowych (ubikacjach). Tam można było znaleźć różnego rodzaju hasła i nawet całe wierszyki obok zwyczajnej chłopięcej pornografii. Wszystko po ukraińsku. Nic po polsku, bo Polaków przecież w tej szkole nie było, oprócz kilku wykładawców. Czyściciele ubikacji mieli z tym nie małe kłopoty. Co by nie wymazali, to nazajutrz znów się ukazywało. Ci klozetowi autorzy w tym czasie musieli być bardzo odważni. Sowietów tego rodzaju anty-propaganda zawsze bardzo drażniła. Kierownictwo szkoły na pewno musiało o tym informować kogo należy. W jakimś tam stopniu oni ponosili odpowiedzialność za tzw. czystość ideologiczną nie wyłączając klozetów. Z pewnością ci odpowiedzialni za bezpieczeństwo w szkole musieli uruchomić miejscową agenturę i odpowiednio ją wzmocnić, bo gdzieś tam w połowie 40-go roku ten rodzaj anty-propagandy politycznej prawie że zniknął. Co pozostało, to raczej "czysta" pornografia, ale na to już nikt nie zwracał uwagi, bo było to politycznie nie szkodliwe, a młodzież przecież w jakiś sposób musi się wyszumieć. No nie? Co muszę przyznać, że w późniejszych latach mojego przebywania w Z.S.R.R., korzystając z szaletów publicznych albo też takowych w różnego rodzaju urzędach, spotykałem się tylko z tzw. "twórczością" o charakterze wyłącznie pornograficznym; politycznej anty – nie było. Jak się okazuje, naród można od wielu rzeczy oduczyć, a szczególnie naród sowiecki, stosując skuteczne i wypróbowane środki przeciwdziałania.

Sytuacja materialna w naszym domu nieco się poprawiła w porównaniu do ostatnich lat przed 39-ym rokiem. Pomógł w tym bardzo wydatnie starszy ode mnie brat, Szymon, o czym już poprzednio wspomniałem. Najstarsza siostra, Fanka z mężem i małą córeczką mieszkała w Skolem. Młodsza siostra, Henia, z mężem mieszkała oddzielnie w wynajętym mieszkaniu. Najstarszy brat, Szlomku z żoną i córką od lat mieszkali oddzielnie. U brata, Fredka z żoną Małą urodziło się drugie dziecko, Renatka; oni wciąż mieszkali u nas, bez jakichkolwiek wudoków na otrzymanie samodzielnego mieszkania. Nowe władze w okresie 39-41 żadnych nowych mieszkań nie budowały. To samo jeżeli chodzi o nowe urządzenia publiczne i komunalne. Starych dróg nie naprawiano i nie asfaltowano, nowych dróg również nie przybywało. W czasie deszczów tonęło się w błocie tak jak dawniej. To samo z kanalizacją i wodociągami; tak jak przedtem po wodę chodziliśmy do hydrantu po drugiej stronie ulicy; ubikacja nadal była w przeciwległym końcu podwórka w zawsze opłakanym stanie. Transportu publicznego jak nie było tak i pozostało. Ten znikomy "ruch budowlany" w dziedzinie mieszkaniowej miał bardzo dziwaczny charakter – tam gdzie było okno robiono drzwi, a tam gdzie były drzwi robiono okno. Był to jakiś dziwny sposób zwiększenia ilości mieszkań. Do istniejących mieszkań dokwaterowywano czasem nawet dwie dodatkowe rodziny. Jedyną może "wygodą" tego tzw. "budownictwa" wyżej wspomnianego było, że każda z rodzin miała oddzielne wejście i wyjście; czasem to nawet śmieszyło, ale był to śmiech przez łzy.

W 1940-ym roku Sowietci wszczęli wojnę z sąsiednią Finlandią, małym państwem z ludnością chyba 80-io krotnie mniejszą. Dzielny ten ludek zadawał sowieckiemu kolosowi dotkliwe ciosy. Długo jednak nie był w stanie się przeciwstawić. Nikt mu z pomocą nie przyszedł. W końcu musieli skapitulować przed przemocą. Sowietci drogo musieli zapłacić za te nowo zaanektowane terytoria.

W związku z Finlandią taka ciekawostka. Po wojnie, już w Izraelu pracowałem z człowiekiem, Żydem, urodzonym w Finlandii, uczestnikiem wojny w 40-ym roku po stronie fińskiej. Miał chłop szczęście, że nigdy nie przyszło mu się zetknąć z sowiecką. Sowietci tego rodzaju "przewinień" nigdy nie wybaczały. Nawet po 100-u latach dokopywali się do takich spraw, wszędzie tam gdzie ich noga stanęła. Tego rodzaju pojęcia jak prekluzja, przedawnienie – u nich nie istniały. Tak to wszystko było do czerwca 1941-ego roku.

## **WOJNA SOWIECKO - NIEMIECKA - 1941-y ROK - EWAKUACJA**

22-go czerwca 1941-go roku Niemcy napadli na Rosję. Wojna się rozpoczęła, przy absolutnym zaskoczeniu i nieprzygotowaniu Sowietów.

Ludzie opowiadali, że jeszcze wczoraj widzieli transporty kolejowe z cysternami, zbożem i innymi towarami odprawiane w kierunku granicy sowiecko-niemieckiej. Ten genialny wódz i strateg czegoś takiego się nie spodziewał i nie wierzył, że ten jego "przyjaciel" Adolf zdolny jest do takiego wiarołomstwa. Przecież mieli wieloletni pakt o nieagresji i przyjaźni? Wszelkie ostrzeżenia, a było takich wiele, odrzucał i uważał za prowokacje. Tych co je przynosili i byli w jego zasięgu kazał rozstrzeliwać natychmiast i bez zwłoki jako nastanych, imperialistycznych agentów. Bandyta Hitler okazał się wtedy chytrzejszy i zapędził w kozi róg swego niemniej bandyckiego partnera. Czy tak to zawsze bywa między bandytami? Między bandytami zdarzają się czasami tacy z "honorem" co przestrzegają postanowienia obopólnej "dintojry" (bandycki sąd rozjemczy). Ci dwaj, to byli bandyci bez krzty honoru i czci. Na ten temat spisano i wydano na zachodzie całe tomy. Wiele z nich czytałem, bo zawsze pasjonowałem się gangsterskimi historiami. Dokładnie pamiętam ten dzień 22-go czerwca, właściwie wczesny ranek. Na zewnątrz zaczynało świtać. Zbudziło mnie rżęzenie ciężkich samolotów. Niemcy bombardowali Polmin. I znowu, tak jak w 39-ym roku Polmin płonie. Przez naszą ulicę zaczęto wozić rannych znad granicy, z Przemyśla, do wojskowego szpitala na Polminie, w którym pracowali moi dwaj bracia. Polmin zajmował bardzo rozległy teren i szpital był w dużym oddaleniu od instalacji produkcyjnych. Miasto już nie spało. Zaczął się run na sklepy. Czegoś innego niż zapałki, mydło, nafta, trochę jeszcze było, ale po godzinie i tego już zabrakło. Inne artykuły które jeszcze były od przedtem, przezorni sprzedawcy (bo kupców już od dawna "rozkułaczono") pochowali dla siebie i swoich krewnych. W mieście zaczął się rozgardiasz i panka. Miejscowi ludzie nie wiedzieli co robić. Sowieci, ci przybysze ze wschodu za to wiedzieli i to bardzo dobrze. Nawoływali do spokoju i opanowania. Według nich nie ma powodu do paniki. Sowieckie wojska już się szykują i na pewno odeprą i przegonią Niemców. Wojna zostanie przerzucona na terytorium niemieckie i tam rozgromiona. Wszystko zgodnie z modną wtedy piosenką "Jesli zawtra wojna"... (jeżeli jutro będzie wojna).

Już na drugi, albo trzeci dzień oani sami zaczęli się w pośpiechu pakować i szykować do ucieczki na wschód – aby dalej od frontu, a front był tuż, tuż. Te swoje przygotowania trzymali w tajemnicy przed miejscowymi. Kierownictwo urzędów gdzie pracowali szykowało im środki transportu - ciężarówki dla tych mniej ważnych, samochody osobowe dla wysoko postawionych. Ponadto, na stacji kolejowej podstawiono specjalnie dla nich pasażerskie zestawy.

Miejscowi ludzie, a szczególnie młodzi, którzy mieli zamiar uciekać na wschód, w jakiś tam sposób wywączali, że na stacji kolejowej stoją również gotowe zestawy wagonów towarowych. Fama się szybko rozeszła i falangi ludzi ruszyły w tym kierunku. Starsi ludzie nie zamierzali się ruszać z miejsca. Bali się, a poza tym nie chcieli zostawiać swoje domowe, od lat hołubione pielesze. Rodzice zachęcali dzieci: idźcie, ratujcie się, my tu jakoś przeżyjemy i wojna się wkrótce skończy i znowu będziemy razem.

Ja zdążyłem zdać wszystkie egzaminy i dostałem świadectwo ukończenia II-go kursu i promocję na III-ci. Stopnie miałem więcej aniżeli dobre. Świadectwo schowałem w szafie ażeby się nie zabrudziło i nie zapodziało.

26-go czerwca 1941-go roku zmarła moja mama. Już jakiś czas przedtem chorowała. Dostała wylew krwi do mózgu i wskutek tego kompletny paraliż. Jeszcze tego samego dnia udało się ją pochować na żydowskim starym cmentarzu. Odprowadzaliśmy ją tylko ojciec i ja. Braci Fredka i Szymona od razu zmobilizowano. Najstarszego brata, Szłomka, również, tylko, że jego szpital wyreklamował i razem ze szpitalem miał się ewakuować. Żona Fredka, Mała z dziećmi, pojechała do swoich rodziców do Stebnika. W tenże wieczór pieszo poszedłem do Stebnika, bo miałem jej przekazać wiadomość od jej męża. Brat Szymon został przydzielony do jednostki artylerii przeciwlotniczej stacjonującej w pobliskim Borystawiu. Jego jednostka szykowała się do wyjazdu na wschód. On jednak postanowił wrócić do swojej żony do Drohobycza. O losie jaki go spotkał opowiedziałem na poprzednich stronach. Najstarsza siostra, Fanka z mężem i

córeczką Sylwią pozostała na miejscu w Skolem. Podzieliła los wszystkich innych Żydów. Młodszej siostry, Heni, już nie było. Zdażyła ze swoim mężem dostać się do jednego z towarowych pociągów razem z rodziną swojego męża. Późno wieczorem wróciłem ze Stebnika do złamanego losem ojca. Tyle przecież lat przeżył z moją mamą, w tym może i niewiele szczęśliwych, na ile ja pamiętałem i jak mogłem się domyśleć z częstych między nimi kłótni. Nazajutrz, wcześnie rano poszedłem do Szlodka. Mieszkał on bardzo blisko nas, na ulicy Stryjskiej w kamienicy Ruderfera. Zastałem ich na pakowaniu walizek, bo miało po nich przyjechać auto ze szpitala i zabrać jego z żoną Frydką.

W tymże domu mieszkał sowiecki oficer z żoną, bezdzietne małżeństwo z którymi byli zaprzyjaźnieni. Oni też się zbierali wyjechać z wojskiem. Zaproponowali zabrać ze sobą ich 5-io letnią córeczkę, Ninę i zaopiekować się nią do końca wojny, która wkrótce miała się skończyć.

Kiedy brat z bratową wdrapywali się na auto, bratowa powiedziała bratu: wiesz co, możebyśmy jego (tzn. mnie) zabrali ze sobą? Chwilę się namyślał i w końcu się zgodził, chociaż zdawał sobie sprawę, że kierownictwo szpitala może robić jakieś trudności. Liczył na dobre stosunki z nimi bo przecież oni wszyscy, wraz z rodzinami, byli jego pacjentami; on im wszystkim robił zęby. Innym argumentem miało być że jestem już dostatecznie dorosłym (miałem wtedy 16½ lat) i na pewno się przydam do różnego rodzaju robót pomocniczych w szpitalu.

Do domu nawet nie zdażyłem wrócić by się z ojcem pożegnać. Pozostał sam na tym bożym świecie, na łasce Niemców. Spotkał go los taki jak wszystkich Żydów naszego miasta – o czym już poprzednio wspominałem. Tak jak stałem, bez niczego zapakowałem się na auto razem z bratem i jego żoną.

W ten sposób zostałem “nieetatowym” robotnikiem szpitala wojskowego. W tym samym dniu szpital przystąpił do ewakuacji. Rannych ładowano do pociągów sanitarnych. Cały zaś personel, wszystkie służby i sprzęt medyczny wpakowano do pociągu towarowego. Zdażyliśmy tm pociągiem dojechać tylko do Stryja, węzłowej stacji 28 kilometrów od Drohobycza. Tam już czekał rozkaz na podstawie którego mieliśmy się wyładować z pociągu i wojskowymi furmankami kontynuować naszą ewakuację na wschód. Konne furmanki wojskowe już na nas czekały. Woźnicami byli miejscowi Ukraińcy zmobilizowani do służby wojskowej. Specjalnej ochoty do tej służby nie mieli, co z łatwością można było wyczytać z wyrazu ich twarzy. Oni z pewnością woleliby pozostać w swoich domach. Wschód ich niczym nie pociągał. Ta wojna nie była ich wojną. Służba jednak nie drużba, a szczególnie w czasie wojny. Wszelkie, nawet tylko próby, mogły się dla nich smutno skończyć. Wyznaczono komendanta karawany w randze starszego leitnanta, który okazał się bardzo przyzwoitym człowiekiem. Dano mu do pomocy kilku uzbrojonych żołnierzy, nie miejscowych. Naszym woźnikom broni nie dano.

Tak więc, w takiej furmankowej karawanie zaczęliśmy się posuwać na wschód. Dokładną marszrutę znał tylko komendant. Na swojej mapie miał oznaczone miejsca postoju.

Posuwaliśmy się, jak przypuszczam, z prędkością między 20-u a 30-u kilometrów na dobę. Nocami żeśmy nie jeździli. Przede wszystkim ze względu na konie. One przecież musiały odpoczywać. Im należało dać owsa, siana, napoić, oporządzić i przygotować do drogi na następny dzień.

Na byłych polskich terenach przekształconych w tzw. Zachodnią Ukrainę starano się na ogół unikać ukraińskie wsie z uwagi na wyraźnie widoczny i odczuwalny nieprzyjazny stosunek do nas. Bezpieczniej było urządzać nocne obozowiska nie we wsi tylko gdzieś w pobliżu lasku lub rzeczki albo jeziora; w każdym razie blisko wody. Prowiant mieliśmy swój, na oddzielnych furmankach. Uzupelnienie zaprowiantowania dokonywano tylko w miastach gdzie były komendatury wojskowe i zawsze przy przy dziennym świetle. Wymagało tego nasze bezpieczeństwo. Odstępstwa i odchylenia od przyjętego reżymu były niedopuszczalne bo mogły zagrażać naszemu życiu, o czym dalej będzie mowa.

Na naszej furmance było pięć osób: woźnica, żołnierz, brat, bratowa i ja. Nie pamiętam dokładnie kiedy, zdaje się, że w pierwszych dniach, opuściliśmy nasze nocne obozowisko bardzo

wczesnym rankiem mając na uwadze ażeby przejechać pobliską wieś ukraińską kiedy jeszcze jest ciemno i mieszkańcy jeszcze śpią. Konie biegną kłusem, my siedzimy cicho jak myszy kościelne i pary z ust nie puszczamy. Już prawie przejechaliśmy całą wieś i tylko pozostała grecko-katolicka drewniana cerkiewka z wieżyczką. Jedziemy i nagle padły strzały z wieżyczki; nasz woźnica zaciął biczyskiem i konie ruszyły galopem. Wszyscy przyłgnęliśmy do dna wozu i w pełnym galopie minęliśmy cerkiewkę. Ja, jako ten najbardziej ciekawski pierwszy podniosłem głowę i poczułem ciepłą wilgoć na mojej koszuli, coś w rodzaju białawej mazi. Reszta zaczęła się podnosić, oprócz żołnierza. Poruszyłem go ostrożnie, a on nie reaguje, leży twarzą w dół i już bez życia. Dostał kulę dum dum w tył głowy i ani pisnął. Ta biaława maź na mojej koszuli to był jego mózg. Jakimś cudem nas to ominęło. Narobiliśmy alarmu i furmanki przed nami zatrzymały się, tylko na krótko. Cerkiewka pozostała za nami jakiś kilometr. Przykryliśmy go szynelem o odjechaliśmy ze cztery kilometry. Wioska pozostała za zkrętem drogi, niewidoczna. Cała karawana zatrzymała się; wykopaliśmy dół, kilka metrów od szosy. Ułożyliśmy go na dnie dołu, zasypaliśmy i na tak uformowanym pagóreczku ułożyliśmy kamienie uzbierane na poboczach szosy ażeby w jakiś sposób uwidocznić grób człowieka i w miarę możliwości uchronić go przed zwierzętami. W naszej karawanie był też politruk; on to wygłosił krótką mowę którąśmy wysłuchali ze spuszczonej głowami. Nasz komendant zaznaczył to miejsce na swojej mapie i ruszyliśmy w dalszą drogę. Później, coraz częściej słyszane były strzały w naszym kierunku. Widocznie ukraińscy strzelcy nas wyprzedzali i oczekiwali w ukryciu na nasze pojawienie się. Komendant ogłosił ostre pogotowie i lazał trzymać karabiny gotowe do strzału, ale nie odpowiadać strzałami.

Skąd się wzięło tyle broni w ukraińskich wsiach? Otóż była to broń pochodząca jeszcze z wojny polsko-niemieckiej w 39-ym roku. Broń tą odbierali Ukraińcy pojedynczym, a nawet niedużym grupom żołnierzy polskich będących w odwecie. Kolejność tylko była inna – najpierw odbierali życie, a dopiero potem broń. Z tej broni robili tzw. “obrezki” – obcinali drewniane kolby i skracali lufy. W ten sposób było łatwiej te “obrezki” ukryć. Chowano je w stodołach, stajniach albo też dobrze zakonserwowane zakopywano w ziemi; zawsze w pewnej odległości od domu. W ten sposób ukryta broń czekała na “lepsze czasy”.

I oto ten czas nadszedł - po dwóch latach. Używali ją przeciwko swoim braciom którzy ich “wyzwolili” od polskiego gniotu w tymże 39-ym roku. Wiadomym było, że Niemcy nasytają szkolonych dywersantów - agentów rekrutujących się z miejscowych Ukraińców zbiegłych zarówno przed wojną w 39-ym roku jak i w czasie tej wojny razem z wycofującą się armią niemiecką z terenów zafiksowanych w pakcie Mołotow-Ribentrop jako strefa okupacji sowieckiej. Zadaniem tych agentów dobrze obeznanych z terenem było organizowanie dywersji na tyłach cofających się wojsk sowieckich. Raz nawet myśmy z naszych furmanek widzieli z daleka lekki samolot, bez wątplenia niemiecki, lądujący w pobliżu wsi; wyskoczyło z niego dwóch osobników i zaczęło biec w kierunku wsi. Natychmiast potem samolot wzniósł się i odleciał. Niektórzy żołnierze z naszej karawany próbowali do niego strzelać ze swoich wintówek (karabinów), oczywiście bez skutku. Do wsi wchodzić - nikt nawet nie próbował o tym myśleć. Bo co by to dało?

Inny przypadek który pozostał mi w pamięci i mógł się skończyć tragicznie dla całej naszej karawany, zdarzył się w pobliżu pewnej wioski niedaleko miasteczka Komarne. Nasza szosa przechodziła między niewysokimi pagórkami z obu stron. Nagle z wierzchołków pagórków zaczęto do nas strzelać i to bardzo gęstym ogniem. Zeskoczyliśmy z furmanek i doczołgaliśmy się do rowów po obu stronach szosy. To nas nieco chroniło od kul. Żołnierze z naszej karawany próbowali się nawet odstrzeliwać, ale to było nic w porównaniu z częstotliwością ognia tych co strzelali do nas. Nie pamiętam ile czasu to tak trwało. Dla nas każda minuta wtedy wydawała się wiecznością. Myśleliśmy że to już koniec naszej wędrówki. Nagle usłyszeliśmy warkot motorów samochodowych i ujrzyliśmy z daleka przybliżającą się kolumnę “prożektorystów”, rodzaj mocnych reflektorów używanych w artylerii przeciwlotniczej do “wymacywania” samolotów w nocy. Dostawszy się w skrzyżowaną smugę dwóch

reflektorów, samolot nie mógł się z niej wydostać, i to był jego koniec; prożektory były w jakiś sposób sprzężone z działkami przeciwlotniczymi. Prożektoryści widocznie z daleka musieli dostrzec co się dzieje i od razu zaczęli strzelać w kierunku pagórków. Tych prożektorystów było dużo i byli też dobrze uzbrojeni; mieli też "zenitki". Nasi napastnicy z pagórków nagle się rozpierzchli i zniknęli nie wiadomo dokąd. Może być, że do widocznych z dala wiosek. Na ten raz nam się poszczęściło. Byliśmy uratowani. Kolumna prożektorystów skierowała się do wsi i nas zabrała ze sobą. Na skraju wsi wystawili posterunki ażeby nikt się nie wymknął. Na największy plac zaczęli zganiać co młodszych mieszkańców wsi. Myśmy byli przekonani, że zaraz zaczną ich rozstrzeliwać. Zamiast tego, dowódcy kolumny zaczęli prowadzić jakieś pertraktacje ze starszyzną wsi. O czym tam mówili i w jaki sposób zdołali tych naszych wybawców przekonać, że to nie ludzie z ich wsi do nas strzelali i chcieli nas zabić - nie wiadomo. Widzieliśmy tylko jak to wsiowe baby zaczęły znosić na ten plac różnego rodzaju dobra onsumpcyjne: jajka, mleko, masło, kurczęta i temu podobne smacznosci.

Myśmy nie czekali i ruszyliśmy naszym marszrutem, bo jeszcze przed nocą chcieliśmy się dobrać do wyznaczonego miejsca postoju. Na drugi dzień dotarliśmy do miasteczka Komarno. Tam nasze "naczalstwo" uzupełniło nasze zapasy. Tamże postanowiliśmy przemocować i dopiero nazajutrz ruszyć w dalszą drogę. Miejscowe władze, bo jeszcze jakimś cudem takowa się zachowała, dały nam do dyspozycji pustą szkołę. Wystawiliśmy nasze "stójki" (warty), umyliśmy się ciepłą wodą, czego już od wielu dni nie robiliśmy, przygotowaliśmy sobie kolację, każdy po swojemu, oporzędziliśmy nasze konie i ułożyliśmy się do snu, nawet rozebrani. Nazajutrz, wczesnym rankiem ruszyliśmy w dalszą drogę. Naszym wyznaczonym celem było dotarcie do starej polsko-sowieckiej granicy na rzece Zbrucz.

Nasuwa się pytanie gdzie byli Niemcy z tym swoim "Blitzem" (Blitz od słowa Blitzkrieg- błyskawiczna wojna). Widocznie "nasza marszruta" musiała się nie zbiegać z ich. Oni, Niemcy rzeczywiście posuwali się w błyskawicznym tempie stąpając po piętach zdeorganizowanej armii sowieckiej masowo idącej do niewoli. Widocznie Niemcy uważali, że teren "naszego odwrotu" i tak się im dostanie bez jakichkolwiek strat czy walk. Nawet niebo było czyste. Żadnych samolotów nie było widać. Tak to sobie my, domorośli politycy i stratedzy z bożej łaski sami sobie wykombinowali. Tego rodzaju myślenie, na pewno złudne, było po prostu wygodne. Takie samookłamywanie dawało nam swego rodzaju iluzoryczny spokój duszy. Prawdziwą wojnę, w całej jej rozciągłości i wszystkimi nieszczęściami zobaczyliśmy dopiero później.

W tym okresie straciłem poczucie czasu. Nie znałem kalendarzowych dat, nie liczyłem dni, żyłem z dnia na dzień. Nie wiem jak inni w naszej karawanie. Jakoś nie przypominam sobie ażeby ludzie wymieniali myśli między sobą, dyskutowali, a nawet sprzeczali się. Musiała to chyba być jakaś ogólna, otępiająca psychoza. Do dzisiaj nie potrafię sobie tego wytłumaczyć.

Po wielu perypetiach i iluś tam dniach dotarliśmy wreszcie do dawnej polsko-sowieckiej granicy na rzece Zbrucz. Most był zniszczony, miasteczko jednak żyło. Przyjaźń między ludźmi po obu stronach starej granicy, tzw. proletariacki internacjonalizm, wzajemne kochajmy się i jeszcze wiele innych z gruntu fałszywych haseł w które nigdy za bardzo nie wierzono, dopiero teraz ujawniły się w całej nagości. Szybko pojawiła się służba graniczna. (Niby dlaczego graniczna ? Przecież straż granica przestała istnieć i po obu stronach zamieszkiwali bracia jednej i tej samej nacji, ukraińskiej nacji ?). Młode, wypasione gęby, bo im się zawsze lepiej wiodło aniżeli innym; stanowili przecież integralną część tej groźnej, nieludzkiej organizacji zniewalającej całe narody. Zimne podejrzliwe spojrzenia. Ich te wszystkie państwowotwórcze slogany nie obchodziły. Oni mieli swoje, tajne instrukcje. Dla nich my wszyscy z tzw. Zachodniej Ukrainy byliśmy i zostaliśmy "zapadnikami", nosicielami dekadentckiego bakcyłu.

Zczęły się indagacje, co i jak, badanie papierów, wszystko w takim duchu jak gdyby tam, trochę dalej nie toczyła się wojna w której dzień w dzień ginęli ludzie. Do nich ona jeszcze nie dotarła w całej swej grozie. U nich dotąd obowiązywały stare instrukcje. Nasz komendant

razem z politrukiem udzielali szczegółowych wyjaśnień; spisali wszystkie nazwiska łącznie z moim i w końcu dali zezwolenie na przekroczenie staro-nowej granicy. Jak już wspomniałem, most był zniszczony i przeprawialiśmy się przez rzekę Zbrucz prawie że w pław. Innych szczegółów nie pamiętam.

W tym niej więcej czasie (chyba początkiem lipca) Niemcy wkroczyli do Drohobycza, poraz drugi w tym dziesięcioleciu. Jak to się odbyło i co było potem – nie wiem, bo wtedy mnie tam nie było. Czego się dowiedziałem, później po wojnie, od ludzi którym udało się przeżyć, że było strasznie. Bardzo się tą tragedią zawsze interesowałem. Przeczytałem na ten temat dużo literatury wspomnieniowej. Do Drohobycza po wojnie nigdy nie chciałem wrócić, bo wiedziałem, że jeżeli wrócę i na własne oczy zobaczę ten ogrom katastrofy, to w mojej pamięci zatrze się to wszystko co kiedyś było i do czego zawsze miałem duży sentyment, jakkolwiek siebie samego do sentymentalistów nigdy nie zaliczałem. A właśnie tego nie chciałem. Gdybym był to po wojnie zrobił, na pewno nie byłbym w stanie napisać o Drohobyczu to co napisałem.

Chciałem zaznaczyć, że już nawet po pełnym i formalnym zjednoczeniu obu Ukrain – tej zachodniej i wschodniej, nigdy nie było między nimi swobodnego ruchu. Wprawdzie nieformalne paszporty, ale zawsze specjalne przepustki były wymagane. O przekroczeniu starej granicy indywidualnie, w celach turystycznych, albo tak z ciekawości, nie mogło być mowy. Przepustka musiała być, tylko że wtedy, dla wyżej wspomnianych indywidualnych celów, takowych nie wydawano.

Wracając do naszej epopei podróżniczej, znaleźliśmy się po drugiej stronie rzeki Zbrucz, na ziemiach wschodniej Ukrainy. Stamtąd kontynuowaliśmy naszą podróż z tymi że furmankami i woźnicami zachodnio-ukraińskiego pochodzenia. Gdzieś tam mieliśmy się połączyć z naszym drohobyckim szpitalem. Tyle tylko, że nam nie powiedziano gdzie to “gdzieś” ma być.

Trzeba przyznać, że po tej wschodniej stronie przynajmniej nikt nie strzelał do nas z za węgła. Za to, tu już zetknęliśmy się z tą bezładną masą żołnierską wędrującą w kierunku wschodnim w poszukiwaniu swoich jednostek wojskowych. Kilku takich “zagubionych” przystało do naszej karawany. Czuli oni potrzebę być pod czymś “przywództwem”, słuchać rozkazów przełożonych. Nasz komendant spodobał im się. Dla takich “zagubionych” przyłączenie się do nas stanowiło swego rodzaju osłonę. Żandarmeria wojskowa polowała na takich wędrujących samotników i zadawała im nie bardzo sympatyczne pytania – kto, co, gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach zagubili te swoje macierzyste jednostki. Ci żandarmi byli bardzo podejrzliwi – a nuż ten “zagubiony” nie bardzo szukał tej swojej jednostki? A może i szukał, prosić przy tym Pana Boga ażeby jej nie znaleźć? W międzyczasie mogłaby się przecież ta przekłeta wojna skończyć? Naiwnych nie sieją. Aktualna przynależność do konkretnej jednostki, nawet takiej jak nasza, dawała pewną osłonę. Był przecież “ojciec”, - nasz komendant który mógł się wstawić za takim.

Kiedyś przystała do nas taka para, mężczyzna z kobietą żołnierką; on chytry i bardzo niesympatyczny z oficerskimi dystynkcjami; niektórzy z nas przypuszczali, że samozwańcami. Nasz komendant “przyhołubił” ich dwoje i zaprosił do swojej furmanki. I co gorsze, zaczęło się odczuwać ich negatywne na niego oddziaływanie. Koniecznie chcieli zostać współzrądcami naszej kolumny i trzeba przyznać, że po trochę im się to udawało.

Tu już coraz częściej pokazywały się niemieckie samoloty wypatrujące większe zgrupowania ludzi i sprzętu wojskowego. Tu już padały bomby. Byli zabici i ranni. Niemcy szybko się posuwali naprzód. Widocznie i tym razem musieliśmy mieć trochę szczęścia, bo ich kierunek był bardziej północny, a nasz więcej na południe.

W tym niej więcej czasie, zdaje się w połowie lipca, Stalin wygłosił mowę, w której nawoływał do niszczenia wszystkiego co wróg mógł wykorzystać dla swoich celów. Podobne to było do taktyki “spalonej ziemi”. Podpalano zbiory na polach, niszczone elewatory zbożowe, wysadzano w powietrze cukrownie, olejarnie, wszelkiego rodzaju fabryki i warsztaty, palono magazyny z wszelakim dobrem itp. Wszystko czego nie można było wywieźć należało zniszczyć.

Niemcy się wściekali. Widać to było ze zrzucanych z samolotów ulotek i nisko latających samolotów bezlitośnie ostrzeliwujących ludzi zajętych niszczeniem. Niemcy bombardowali transporty, zestawy kolejowe, nawierzchnie, tory kolejowe, szosy zatłoczone byłym uganianym na wschód – wszystko co się posuwało w kierunku wschodnim.

W swoich ulotkach i odezwach Niemcy wzywali ludność do przeciwdziałania zniszczeniu tego czego oni sami nie zdołali zniszczyć, grożąc przy tym straszliwymi karami po wkroczeniu ich wojsk na te tereny. Już wrótce te wszystkie groźby zostały spełnione i to z dużą nadwyżką. Niemcy nie tylko potrafili być okrutni; w rzeczywistości oni byli defacto okrutni i bezlitośni.

W międzyczasie Sowieci zorganizowali specjalne oddziały niszczycielskie dla wypełnienia nakazów najwyższego kierownictwa sowieckiego.

Myśmy kontynuowali naszą jazdę. Na noc zazwyczaj zajeżdżaliśmy do kołchozów. Przyjmowano nas przyjaźnie, karmiono w miarę ich możliwości i wyposażano na dalszą drogę. Nasz komendant potrafił zawsze znaleźć z nimi wspólny język, trafić do ich serc. Był przecież jednym z nich i to nam bardzo pomagało. Byliśmy oddziałem zmierzającym do połączenia się ze swoją macierzystą jednostką którą był szpital wojskowy numer taki a taki. Po kilkudniowej wędrówce przybyliśmy do pierwszego większego miasta na Ukrainie. Wtedy to miasto nazywało się Proskurów. Po wojnie zmieniono nazwę na Chmielnick, na cześć ukraińskiego atamana, znanego w żydowskiej historii z krwawych pogromów.

W mieście panował niesamowity rozgardiasz i chaos. Niemcy podchodzili do miasta. Praktycznie, władzy cywilnej chyba już nie było. Rozbijano i grabiono sklepy i magazyny. Nasz komendant zdołał jeszcze odszukać komendanturę wojskową. Stamtąd przyniósł nam wieść, że naszą kolumnę się rozformowuje i że mamy sami szukać możliwości połączenia się z naszą macierzystą jednostką - drohobyckim szpitalem wojskowym. W końcu, po tak długim czasie, ujawniono nam wreszcie miejsce jego postoju - przedmieście miasta Kazatyń w kijowskim obwodzie. Poradzono nam dobierać się pociągami towarowym, bo tylko takie wtedy chodziły. Czego nie byliśmy w stanie w żadnym sposób zrozumieć, że wszystkich naszych woźniców - ukraińców pochodzących spod drohobyckich wsi zwolnili i kazali pójść dokąd im się żywnie podoba. Nie do wiary ! A właśnie było tak, a nie inaczej. W tym samym dniu spotkaliśmy niektórych z nich na ulicy w Proskurowie. Już bez koni, ale za to obładowanych różnego rodzaju dobrem pochodzącym z grabieży. Widocznie musieli aktywnie uczestniczyć w tym grabieżczym "festiwalu". Na pytanie co zamierzają powiedzieli, że zaczną się dobierać do swoich domów, po tamtej stronie Zbrucza.

Tę noc, brat z bratową i ja spędziliśmy na pobliskim lotnisku wojskowym. Caluteńką noc Niemcy je bombardowali. Z naszego strychu widzieliśmy płonące samoloty. Dużo ich było. Nie zdążyły wznieść się.

Skoro świt zaczęliśmy się dobierać do stacji kolejowej. Większość budynków stacyjnych leżała w gruzach. Na jednym z torów stał zestaw wagonów towarowych doczepionych do lokomotywy pod parą. Od maszynisty dowiedzieliśmy się, że idzie do Żmerynki i że to jest po drodze do "naszego" Kazatynia. Do jednego z wagonów udało nam się wgramolić. Maszynista z pomocnikiem nam pomogli, bo wagon był zamknięty i trzeba go było otworzyć. Okazało się, że był on załadowany beczkami z kiszonymi, zielonymi pomidorami i kilkoma workami z cukrem. Nie mogło się nam nadziwić jak to się mogło uchować i tego nie rozgrabili ? Widocznie dlatego, że na tej stacji nie było nikogo, oprócz nas, wagon był zaryglowany i nie zwrócił niczyjej uwagi. Byliśmy jedynymi "pasażerami". Większość cukru maszyniści zabrali do siebie i tylko trochę nam zostawili. Bratowa miała blaszane pudełeczko z kosztownościami i musiała je albo zgubić albo gdzieś zostawić na lotnisku; w każdym razie gdzieś się zapodziało. Wielka była strata, lecz cóż można było poradzić ? Trzeba to było przeboleć. W tą noc na lotnisku mogliśmy przecież życie stracić.

Droga do Żmerynki wzięła chyba kilka dni, bo ten pociąg więcej stał aniżeli jechał. Całą drogę żywiliśmy się tymi pomidorami i cukrem. Bardzo często przelatywały niemieckie

samoloty i wtedy pociąg się zatrzymywał i myśmy wyskakiwali i kryli się na skarpie. Widocznie nie myśmy byli celem, bo samoloty tylko przelatywały i bomb nie zrzucały.

Wreszcie dojechaliśmy do Żmerynki. Wyszliśmy i zaczęli szukać pociąg idący w kierunku Kazatynia. Udało się nam kupić coś niecoś do zjedzenia. Znowu jakiś maszynista wskazał nam zestaw towarowy odprawiany w pożądanym dla nas kierunku. Tym razem trafiliśmy na wagon załadowany beczkami z asfaltem. Pociąg ruszył; znowu długie postoje i naloty. W końcu dotarliśmy do tak upragnionej stacji Kazatyn. Zeszliśmy i na piechotę zaczęli szukać ten nasz szpital. Znaleźliśmy go w zagajniku. Poprzednio musiała tam być szkoła. Od razu znaleźli się brata znajomi lekarze z Drohobycza. Bratu wypłacili żołąd za miniony okres.

Szpital nosił charakter przyfrontowy. Ciągłe dowożono rannych z pierwszej linii frontu. Lekarze w tych zakrwawionych chałatach przypominali rzeźników. Większość operacji to były amputacje. "Rżnięto" nogi i ręce w sposób masowy. Widocznie w ten sposób starano się ocalić resztki życia, wszędzie tam gdzie to jeszcze było możliwe. Ja robiłem wszystko co mi kazali, począwszy od wynoszenia resztek kończyn, mycia podłóg w salach operacyjnych, do pomocy w kuchni szpitalnej. Noce ciągle jeszcze były ciepłe, więc przysposobiłem sobie miejsce w rowie przeciwlotniczym i tam też spałem. Często pojawiały się niemieckie samoloty bombardując pobliskie obiekty, z czego wynioskowałem, że nie o nasz szpital im chodzi. Chirurdzy swojej pracy nie przerywali, natomiast personel pomocniczy szukał schronienia w rowach.

Pewnego dnia przywieźli Niemca z rozprutyn brzuchem. Położyli go na jednej z sal i pielęgniarka zaczęła go przygotowywać do operacji. Był przytomny i z otwartymi oczami przypatrywał się co ona robiła. Próbowwała go zagadnąć. Była Żydówką i myślała, że umie po niemiecku. Pewnej chwili zakorciło ją i powiedziała mu, że jest Żydówką. Zdębiał na twarzy i resztkami sił zaczął coś wykrzykiwać. Z jego krzyku zrozumiała, że on nie chce ażeby Żydówka się nim zajmowała. Pielęgniarka go zostawiła i poleciała do naczelnika szpitala. Jego widocznie też to musiało ruszyć; nie dość że chcą mu pomóc on jeszcze próbuje wydziwiać w butny niemiecki sposób. Nie namyślając się, naczelnik wezwał dwóch żołnierzy – sanitariuszy i rozkazał wyrzucić go na śmietnik. Po prostu na śmietnik. Ci weszli na salę i wzięli go – jeden za ręce, drugi za nogi, ponieśli do wysypiska śmieci na skarpie, rozhuścili i zrzucili ze skarpy. Później widziałem ten jego "soldatenbuch" - książeczkę żołnierską; nazywał się Klaus Fuks, 1919-go roku urodzenia, mieszkaniec Hamburga. Takich rzeczy się nie zapomina. Pozostają one w pamięci przez całe życie. A my, Żydzi mamy ku temu szczególne powody.

Front był coraz bliżej naszego szpitala, aż pewnego dnia sytuacja doszła do szczytowego punktu. Zjawił się naczelnik szpitala i wydał rozkaz natychmiastowego opuszczenia miejsca, bo Niemcy są już bardzo blisko. Wszystko należało zostawić i tylko rannych przenieść do podstawionego pociągu sanitarnego. Zrobił się popłoch i zamieszanie. Personel szpitalny cisnął się do ciężarówek, wozów konnych, do tego co było najbliższej pod ręką.

I właśnie wtedy zawieruszyła się, zagubiła i to na długie cztery lata, żona brata, Frydka. Ja z bratem dopadliśmy do postoju szpitalnego taboru konnego i jeszcze z dwoma pracownikami służby szpitalnej z miejsca ruszyliśmy w drogę. Jako punkt zborny podano nam miasto Połtawa.

I tak zaczęła się konna wędrówka. Tym razem my z bratem mieliśmy już doświadczenie. Smutno nam było we dwójkę bez Frydki. Jej los bardzo nas niepokoił. Co się z nią mogło stać ?

Tak jak poprzednio zatłoczone szosy, było pędzone na wschód, wojsko – to zorganizowane, na autach jak i piesze oddziały o poszarpanych i znużonych twarzach. Nad nami w powietrzu buszujące niemieckie samoloty pikujące i ostrzeliwujące ludzi i było na na zatłoczonych szosach. Już z daleka, jak ucho tylko zdołało uchwycić szum motoru zatrzymywaliśmy się szukając ukrycia w przydrożnych rowach, albo pod wozem; tak jakby to wiele mogło pomóc. Wtedy, po raz wtóry jak za poprzednim razem straciłem rachubę czasu. Nie mogę sobie przypomnieć ile trwała ta wędrówka. Ja opuściłem dom w jednej koszuli, bo był czerwiec i było bardzo gorąco. Poza tym, nie przypuszczałem, że czeka mnie aż taki wojaż.



Wszystko odbyło się tak nieoczekiwanie. Ciągłe wracałem myślami do mojego biednego i złamanego ojca. Smutno mi było, bardzo smutno. Oduczyłem się płakać.

W końcu dotarliśmy do tej Połtawy. Stosunkowo duże miasto wojewódzkie. Zajechaliśmy do wojskowej komendy miasta. Znowu zaczęły się rejestracje, segregacje, badanie dokumentów i zapisywanie danych. Ja żadnych dokumentów nie miałem, bo niczego ze sobą nie zabrałem. Brata od razu przydzielili do innej jednostki. Mnie kazali się wynosić. Dokąd? Nikogo to nie obchodziło. Oni za mnie żadnej odpowiedzialności nie byli gotowi ponosić. Prosiłem, błagałem ażeby mnie wzięli jako ochotnika do wojska. Nic nie pomogło. Nie chcieli i już. Prośby brata, że zostaję sam, nigdzie nikogo nie mam i nie znam – nie pomogły. Widząc, że sprawa jest przesądzona, poprosiłem ażeby mi przynajmniej dali jakiś papierek, „sprawkę” jak się nazywam, ile mam lat i skąd pochodzę. Na to się w końcu z litości zgodzili. Odręcznie napisali papierek i przyłożyli dużą, okrągłą pieczęć z herbem, bo to dodawało godności i wiarygodności. To już był jakiś dokument, jedyny jaki posiadałem. Drugą łaskę co mi zrobili to podali adres biura ewakuacyjnego tzw. „ewako punktu” w Połtawie i powiedzieli, że tam się już mną zajmą. Brat dał mi swoje cywilne ubranie, nowe, prawie nie noszone i parę jego butów, takich do sznurowania. Spodnie budziły sensację bo to były modne wtedy tzw. pumpy; w sowietach tego nie znali. Według tych pumpek od razu stawało się jasne, że nie jestem jednym z nich, tylko tzw. „zapadnik”. Całe to ubranie wisało na mnie bo brat był prawie dwa razy taki duży jak ja. Ten duży rozmiar mi wcale nie przeszkadzał a szczególnie marynarka, bo mogłem się nią owinąć, a w nocy służyła mi jako koc i podściółka razem wzięte. Buty były wykwiśnięte, tzw. bergsztajgiery, ze skórzaną cholewką i na skórzanej podeszwie, z mosiężnymi, błyszczącymi klipsami do sznurowania. U nich czegoś takiego nie znali i nawet w kinie nie widzieli, bo zachodnich filmów tam nie wyświetlano. Z butami większymi o kilka numerów jakoś sobie poradziłem, po prostu wypchałem je papierem gazetowym. W czasie pierwszej zimy bardzo mi się to przydało. Przynajmniej miałem ciepło w nogach. Pożegnałem się z bratem. Niełatwe to było pożegnanie. W czasie wojny wszystkie pożegnania były niełatwe. Przyszłość była niepewna a ewentualność spotkania jeszcze bardziej.

Jakoś dobrałem się do tego ewakopunktu na drugim końcu miasta. Tam mnie zarejestrowano o i nawet dano coś do zjedzenia. Powiedzieli, że jutro będzie zestaw - eszałon odprowadzający się na południe. Na noc posłali mnie do dużego kina (nie na film) stanowiącego punkt zborny. Zebrało się tam dużo ludzi i jutro rano mieliśmy wyruszyć na stację kolejową. Noc przespałem na podłodze na podłożonej gazecie; więcej przechodziłem aniżeli spałem.

Tak to wyglądała ta moja pierwsza noc, całkowicie „na swoim”, sam na świecie bez jednej znajomej duszy. Zdawałem sobie sprawę, że jeżeli mam przetrwać to muszę być twardym i polegać tylko na samym sobie. Nazajutrz razem z innymi dobrałem się do dworca kolejowego, odszukałem „swój” eszałon i wpakowałem się do jednego z wagonów. Były w nim półki z desek tzw. „nary”, dwu albo trzy poziomowe (dokładnie nie pamiętam). Setki ludzi, uciekinierzy z terenów zajętych przez Niemców. Poza sobą pozostawili cały swój dobytek, ogniska rodzinne, znajomych, przyjaciół. Udawali się w nieznaną. Z moich współpasażerów w wagonach zapamiętałem młodą kobietę, żonę oficera walczącego na froncie, z dwojgiem małych dzieci i siostrą. Ja ulokowałem się na górnych „narach”. Bagażu żadnego nie miałem; tyle co na sobie. Około południa eszałon ruszył. Ludzie zaczęli się przysposabiać i poznawać. Powiedziano nam, że na niektórych większych stacjach będzie wydawany chleb i coś gotowanego – zupa albo kasza, bezpłatnie. Kociołek i łyżkę zorganizowałem sobie jeszcze w szpitalu. Teraz mi się to bardzo przydawało. Nie wiem jak bym sobie poradził bez tego. Na każdej stacji była budka z napisem „kipiatok” - wrząca woda. W ten sposób można było sobie zaparzyć herbatę, jeżeli ktoś takową miał. Ja do takich nie należałem. Z tego wrzątko łatwo było zrobić zupę albo kaszę z suchara. Niektórzy „współwagonowcy” byli niezłe przysposobieni do podróży. Mieli wiadra, miednice, garnki i inne przysposobienia ułatwiające życie. Niektórym „współpasażerom” świadczyłem drobne usługi - przynosiłem wrzątek albo wodę z kranu, i temu podobne, za co odwdzięczali się porcją zupy, czasem herbatą. Na niektórych stacjach miejscowe kobiety

sprzedawały czasem różnego rodzaju produkty. Byłem młody i szybki dlatego też niektórzy prosili ażeby im kupić to i owo za co mi zawsze coś “odpalali”. Moja szybkość i zwinność miała pewne znaczenie, bo run na towary był duży zaś towaru mało. Szczególnie pomocny byłem tej oficerskiej rodzinie z uwagi na małe dzieci. W ten sposób się żyło w czsie tej podróży.

W czasie jednego z dłuższych postojów przechadzając się po peronie i wypatrując coś do kupienia, niespodziewanie natknąłem się na drohobyczynina, J.R. Był starszy ode mnie o jakieś 4 lata; jego siostrę znałem z organizacji szomrowej. Bardzo się tym spotkaniem ucieszyłem, wziąłem go do “swojego” wagonu i urządziłem mu miejsce i legowisko obok mnie na górnych narach. Miał ze sobą duży kolejarski płaszcz – szynel którym obaj przykrywaliśmy się w nocy. Tak więc nie byłem już sam. Miałem z kim porozmawiać i z kim się podzielić, jakkolwiek obaj nie mieliśmy wiele, a właściwie nic.

Ile czasu ta podróż trwała – nie pamiętam. Pewnego dnia nasz eszaon zatrzymał się na stacji z napisem “Jeja”. Była to północna część Krasnodarskiego Kraju, Kubań, zamieszkała przez kubańskich Kozaków. Oznajmiono nam, że na tym nasza podróż dobiegła końca i trzeba wysiadać. Mnie i mojego kolegę odwieziono furmanką do pobliskiego kołchozu. Kołchoz nosił imię Budionnego zaś stacja Nowopokrowskaja. Odległość od stacji Jeja wynosiła 8 kilometrów.

W międzyczasie doszłusował do naszej dwójki młodzieniec z naszych stron, zdaje się z Horodenki. Za Sowietów pracował na poczcie i dotąd paradował w uniformie sowieckiego poczciarza. Naszą trójkę zarejestrowano jako grupę i ulokowano u pewnej Kozaczki z trojgiem nieletnich dzieci. Mąż tej Kozaczki odsiadywał 10-io letni wyrok z paragrafu 58 (straszny polityczny paragraf). Jak opowiadali sąsiedzi, kiedyś po pijanemu miał się wyrazić, że gdyby miał rewolwer to pjechałby do Moskwy i zastrzelił Stalina. Wielka szkoda, że rewolweru nie miał, bo może świat by dzisiaj inaczej wyglądał. Znaleźli się “dobrzy” ludzie którzy od razu donieśli gdzie trzeba. Obeszło mu się tylko dziesiątką; widocznie chłop musiał mieć wielkie szczęście, bo za takie zbrodnicze myśli, (tylko myśli) zazwyczaj rozstrzelivano. Miało to miejsce w 37-ym roku w czasie głodu na tej zawsze żywej kubańskiej ziemi. Nie mogliśmy się nadziwić, że w tej stancji (tak nazywano kozackie posiołki) w ogóle nie spotykało się ni psów, ni, kotów. Tamtejsi ludzie opowiadali, że wszystkie te domowe zwierzęta zjedzono w czasie tego głodu. Czy ja wiem? A może to i prawda? Raczej tak, bo tak sobie ludzie takich rzeczy nie opowiadają.

Mąż naszej Kozaczki swoją karę odbywał na dalekim wschodzie; był jednym z budowniczych miasta Komsomolsk na Amurze. (Amur - największa rzeka na Dalekim Wschodzie). Dom naszej Kozaczki stanowił rodzaj jednoizbowego krytego słomą “budyneczku” z glinianą podłogą i dużą “pieczką” (piec) pośrodku izby. Gospodyni z trójką swoich dzieci miała urządzone legowisko na piecu. Myśmy w trójkę spali w drugim końcu izby. Do snu żeśmy się nie rozbierali tylko buty ściągali. Ja rozścielałem i przykrywałem się moją dużą marynarką.

Nad ranem kołchozowa furmanka ciągniona przez dwa woły zbierała ludzi do pracy w polu odległym jakieś trzy kilometry od stancji. Jedzenie dostawaliśmy na miejscu - porcję białego chleba i zupę z kluskami, nawet dosyć gęstą. Na długim stole stawiano gliniane michy – jedna micha na czterech – i cała czwórka chlebała z nich, każdy swoją drewnianą łyżką. Kolidzje między łyżkami się nie zdarzały; jak jeden zapuszczał swoją łyżkę w michę, inni czekali i tak w kółko. Wszystko było zgrane, i to nawet bez dyrygenta. Jeśli micha pustoszała, kucharka dawała dolewkę; zagryzano swoim chlebem. W każdym razie głodnym się nie było. Tak było rano i w południe; wtedy też przywożono arbuzy jako dodatek, też ile kto chciał. Po zachodzie słońca odwożono na z powrotem do stancji. Wieczorem każdy kombinował na swój sposób. Jeżeli miał coś do wymiany był królem. Zawierano znajomości z miejscowymi ludźmi – pomagano w obrabianiu działki przyzagrodowej, przy różnych naprawach itp. Z polowej “jadłodajni” korzystali tylko ci ewakuowani (uciekiniery - bieżericy). Miejscowi przynosili jedzenie ze sobą z domu, rozsiadali się gdzieś na ustroniu tak żeby w oczy nie kłuć nam, obcym. Mieli swoje działki przyzagrodowe, kury, czasem krowę, hodowali też świnkę. Nasza gospodyni niczego nie miała. Jakże więc utrzymywała swoją trójkę dzieci? Pojęcia nie mam.

Praca w polu nie była specjalnie ciężka; nie poganiano, czasem tylko pokrzykiwał nasz brygadzysta, Roman Andrejewicz. Każdy rodzaj pracy był znormowany i przeliczany na tzw. "trudodni". Przy końcu roku robiono ogólny bilans i rozliczano. Możliwe, że gdybyśmy się doczekali w tym kołchozie do końca roku to może i nam by się coś dostało.

Ten mój drohobycki kolega "przygruchał" sobie miejscową dziewczynę, Niusię - pocztalionkę. Zaczął wracać późno, najedzony a czasem dopiero nad ranem. Mnie się trochę poszczęściło tylko, w inny sposób. Była taka jedna, starsza Kozaczka, brygadzistka, członek kołchozowego kierownictwa - coś w rodzaju miejscowej V.I.P. Miała syna na froncie, pilota. Wmówiła sobie (mnie nie), że jestem do niego podobny. Od czasu do czasu przynosiła mi na pole jakiś przysmak domowy. Raz mi nawet podarowała stary waciak (fufajkę) co mi się bardzo przydało, bo w nocy zaczynało być chłodnawo. Jeszcze długo potem mi służyła. Ten nasz trzeci towarzysz niedoli, były pocziarz z Horodenki miał trochę ciuchów z domu, wymieniał je na produkty albo sprzedawał i przez to radził sobie dużo lepiej aniżeli nas dwoje. Wspólnoty (komuny) produktowej żeśmy nie mieli. Każdy był dla siebie z tą różnicą, że on zawsze miał coś w zapasie i trzymał u kogoś poza domem. My we dwójkę żadnych zapasów nie mieliśmy; wszystko cośmy zdołali zorganizować natychmiast zjadaliśmy.

W naszym kołchozie była jedna Polka którą w czasie I-ej wojny światowej Kozak służący w carskiej armii przywiózł ze sobą na Kubań. Tu założyli rodzinę i mieli kilkoro dzieci. Umiała nawet trochę mówić po polsku. Czasem mnie zagadywała i tylko wtedy gdy nikogo nie było w pobliżu. Czasem mi się marzyło ażeby mnie zaprosiła do swego domu. Nic z tego nie wychodziło. Bywały niedziele, że się nie pracowało; chodziliśmy wtedy piechotą do stacji kolejowej Jeja. Czasem wyświetlano tam film.

Tuż przy stacji był oddzielny budynek Rajispołkomu, odpowiednik naszego starostwa. W jednym z pomieszczeń wystawiano spis ewakuowanych rozlokowanych w tym rejonie. Wertując spis, nagle natknąłem się na nazwisko i dane przyjaciela mego dzieciństwa, Siuny. Ogromna radość mnie opanowała. Z pamiętałem nazwę kołchozu - jakieś 12-ie kilometrów od mojego. Zaczynało być późno, uświadomiłem sobie, że dziś już nie zdążyłbym pójść i wrócić do siebie wobec czego postanowiłem, że w przyszłą niedzielę wybiorę się tam z samego rana. Byłem niemalże pewny, że jest tam razem z jego rodzicami i że będę mógł do nich przyłgnąć jak do własnej rodziny. Z niecierpliwością czekałem na tę niedzielę. Cały tydzień miałem bardzo ciężki.

W sobotę w nocy nie mogłem spać tak byłem podekscytowany. Wczesnie rano wstałem i ruszyłem w drogę; około południa byłem na miejscu. Trudno mi opisać rozczarowanie a przede wszystkim żal jaką doznałem na widok Siuny. Tego maminego synka, wychuchanego, delikatnego chłopca. Bosa, w mundurku studenckim z wyświechtanymi łokciami i kolanami, z niegojącymi się furunkulami. Jednym słowem – obraz nędzy i rozpaczy. Mieszkał w chacie z parą staruszków. W porównaniu z nim ja musiałem chyba wyglądać jak przybysz z innej planety. Moje ubranie i buty jednak były jeszcze w jakim takim stanie. Zdrowotnie też byłem w porządku. Poza tym mój kołchoz miał opinię bogatego, jego zaś biedny z niekończącymi się kłopotami. Co mi zdążył opowiedzieć, że ze Lwowa wyszedł z ojcem, którego wkrótce zmobilizowano. Został sam, tak jak ja kiedyś ja w Połtawie. Jak się urządził i w jaki sposób dotarł do tejże stacji Jeja, zdążył mi już opowiedzieć. Byłem tak poruszony tym jego losem, że niczego nie zdołałem zapamiętać. Postanowiliśmy być w stałym kontakcie i nie rozstawać się. Próbowałem wydostać go z jego kołchozu i czyniłem próby przeniesienia go do mojego. Nic z tego nie wyszło.

Niemcy napierali coraz bardziej. Front zaczął się szybko przybliżać. W międzyczasie moich dwóch dotychczasowych współtowarzyszy niedoli zmobilizowali do wojska. Ja dotąd pozostawałem niepełnoletni. Zostałem sam. Między ewakuowanymi w naszej okolicy zapanował niepokój i obawa, że możemy nie zdążyć wydostać się stąd. U miejscowych mieszkańców tego rodzaju obaw nie mogłem się dopatrzeć. A może się myliłem ?

W każdym razie postanowiliśmy z Siuną zacząć szybkie i konkretne przygotowania do drogi. To samo zresztą zaczęli robić wszyscy inni ewakuowani w naszej stancy. Nie po to

przecież opuścili swoje domy i dorobek całego życia ażeby właśnie tutaj wpaść w łapy niemieckich zbirów. O naszych zamiarach powiadomiliśmy nasze kotchozy – on u siebie i ja u mnie. Na ostatnie patrzeć dni Siuna przeniósł się do mnie. Przecież byłem sam i miejsca na glinianej podłodze było dosyć. Moja opiekunka, Sierowa, spiekła mi parę dużych bochni chleba i usmażyła trochę mięsa. Siuna też coś tam ze sobą przyniósł. Mnie w kotchozie wypłacili 139 rubli. Siuna dostał tylko 30 rubli. Nakupiliśmy czosnku, cebuli i soli. Byliśmy gotowi do drogi.

### **KIERUNEK STALINGRAD - SPOTKANIE NA WÓLDZE**

Nasz zasadniczy kierunek był Stalingrad na Wóldze. Któregoś dnia (na samym początku zastrzegłem się, że dat nie pamiętam, bo żadnych zapisów nie prowadziłem), a było to

już późną jesienią, 1941-go roku poszliśmy z Siuną na stację kolejową Jeja, tę samą na którą ileś tam miesięcy temu przywieźli nas, tyle tylko że każdego z nas oddzielnie, w różnych dniach. Stąd wychodziliśmy już razem.

Wiele pociągów, oczywiście towarowych, przejechało na pełnej szybkości nie zatrzymując się. Wreszcie jeden taki,  $\frac{3}{4}$  to znaczy niezamknięty, bez dachu zatrzymał się. Nam z Siuną udało się wskoczyć, a chętnych było dużo bo stacja była zatłoczona ludźmi z tobołami, jak na prawdziwym dworcu pasażerskim. Okazało się, że ten wagon był załadowany do połowy czymś w rodzaju "gąsek" żeliwnych (półfabrykat dla odlewni). Zachęcająco to nie wyglądało, ale nie było rady. Najważniejsze było żeśmy się dobrali na wierzch. Razem z nami było jeszcze kilku "szczęśliwców". Pociąg ruszył i to dosyć szybko. Zaczęliśmy się przysposabiać. Naszą myślą przewodnią było ażeby później, na jakimś postoju przeskoczyć na inny zestaw tylko z zamkniętym wagonem, z dachem. Nie pamiętam ile to trwało, ale chyba gdzieś za stacją Solsk albo Kotielnikowo – w połowie drogi do Stalingradu. Jedyne wagon pół-pasażerski w tym zestawie był wagon pocztowy. W tym wagonie jechała kobieta z dwojgiem małych dzieci. Znałem ją z naszej stacji. Ona była lekarzem a jej mąż aptekarzem; z nim pracowałem w kołchozie na polu. Jego zmobilizowali do wojska i ona jechała sama z dziećmi. Musieli to być bardzo zamożni ludzie, bo ona w kołchozie nie musiała pracować. Konduktor tego pocztowego wagonu na pewno był bardzo dobrze opłacony. Za jej wstawieniem pozwolił nam spać w tzw. "sobaczniku"; w każdym pocztowym wagonie były luki – pomieszczenia dla przewozu psów, ok. 60cm\*60cm głębokie na 1½ metra z okratowanymi drzwiczkami. Nanieśliśmy trochę siana ażeby nie było tak twardo no i trochę ciepłej. Za wygodnie jak na dwoje to nie było. Jeżeli psy mogły wytrzymać, to niby dlaczego myśmy nie mogli? Na pewno wielu ludzi by nam pozazdrościło. Za ten "luksus" i wygodę myśmy tej pani świadczyli różnego rodzaju usługi.

Naszymi zapasami żywnościowymi gospodarowaliśmy więcej aniżeli oszczędnie. Musiały nam starczyć co najmniej do Stalingradu. Ustaliliśmy sobie bardzo srogi system dietetyczny. Dwa razy dziennie po kromce chleba posypanej solą z kawałkiem cebuli i ząbkiem czosnku. O mięsie z kołchozu żeśmy dawno zapomnieli bo trzeba je było szybko zjeść bo się zaczęło psuć i można się było zatruc. Chleb wprawdzie też zaczął nam pleśnieć, ale to nie szkodziło. Pleśń - wiadomo – penicylina, a penicylina to lekarstwo, więc wszystko było w porządku. Te nasze racje żywnościowe zapijaliśmy wrzątkiem – "kipiatokom"; tego mieliśmy pod dostatkiem i bez ograniczeń. Od czasu do czasu ta pani doktor dawała nam resztki swojego jedzenia. Sama odżywiała się niezłe jak na te warunki. Ta nasza dieta była trochę za mała ażeby żyć, ale na pewno za duża ażeby umrzeć. Widocznie musieliśmy się do niej przyzwyczaić tak samo zresztą jak do permanentnego burczenia w żołądku. Fakt niezbity, żeśmy z głodu nie umarli.

Pewnego dnia żeśmy wreszcie do tego Stalingradu dotarli. Było to pierwsze duże miasto sowieckie które dane nam było zobaczyć. Dotąd nie ruszone, bo front był jeszcze stosunkowo daleko. Krążyliśmy po, wtedy na wpół opustoszałych ulicach. Gdzie się podzieli mieszkańcy tego ogromnego miasta? Chyba byli w pracy – starzy, młodzi, podrostki – wszyscy musieli pracować, bo Stalingrad był gigantycznym ośrodkiem przemysłu pracującym na potrzeby frontu.

Dla ewakuowanych z różnych stron sowieckiego imperium Stalingrad był miastem etapowym w drodze na południe. Wszyscy chcieli się z niego jak najszybciej wydostać i dlatego koncentrowali się w pobliżu ewakopunktu i biura które wydawało przepustki na barki rzeczne w dół Wołgi do Astrachania. Ogółowi ludzi nie zwiedzanie było w głowie. Oni musieli pilnować swoich tobołów ażeby im ich nie ukradli. Co innego tacy "beztobołkowi" jak my z Siuną. Nas to miasto jednak ciekawiło.

Z naszą panią z pocztowego wagonu rozstaliśmy się. Ona znalazła jakichś swoich znajomych i nas więcej nie potrzebowała. Pierwszą stalingradzką noc spędziliśmy na ogromnym placu w pobliżu dworca. Masa narodu z tobołkami. Z trudem znaleźliśmy trochę przestrzeni ażeby sobie urządzić legowisko. Powiedziano nam, że trzeba pójść do ewakopunktu zarejestrować się i otrzymać przepustkę na jedną z barek idących w dół rzeki. Chodziło o to

ażeby rozładować to ogromne skupisko ludzi i zwolnić miejsce dla nowych przybyszów. Nazajutrz, wcześniej rano udaliśmy się do tego punktu i bez zbytej biurokratycznej wołokity zarejestrowaliśmy się i otrzymaliśmy przepustki na jedną z barek.

Nasze zapasy żywnościowe były w stanie katastrofalnego wykończenia. Trzeba było coś zrobić ażeby je choć trochę uzupełnić na drogę która miała trwać nie wiadomo ile dni. Bazarów i sklepów na Wołdze przecież nie było. Poszliśmy więc na poszukiwanie lądowego bazaru. Jest ! Na dużym ogrodzonym placu. Kupujących dużo, sprzedających bardzo niewiele. Co się ukazywało momentalnie było rozchwytywane. Obok nas "wrosła" jakaś babina z woreczkiem pestek słonecznikowych – "siemieczek". Razem z innymi rzuciliśmy się ku niej. Po minucie nic z jej towaru nie pozostało. Zawiedzeni chcieliśmy ruszyć na dalsze poszukiwania. I nagle !! Pociemniało mi w oczach ! Złapałem się za kieszeń w której trzymałem te parę moich nieszczęsnych rubli, razem z moim jedynym połtawskim dokumentem i tylko co otrzymaną przepustką na barkę. Jak mi później opowiadał Siuna, stałem jak skamieniały, z zamkniętymi oczami, nie mogąc z siebie słowa wydobyć. Moja bezgraniczna rozpacz musiała chyba być bardzo widoczna. Ludzie nas obścapiли i dopytywali się co się stało. Siuna im coś tłumaczył, a ja nic. Wciąż stałem jak słup soli. Niektórzy, bardziej litościwi zaczęli mi nawet wpychać drobne banknoty rublowe. Wtem pojawił się jakiś typ i powiedział: tak, ja tę dwójkę znam, tylko co wczoraj odstawił podobny numer na innym bazarze. Widocznie był to jeden z tej bandy złodziejskiej. Moja rozpacz doszła do takiego stopnia, że byłem gotów pójść do Wołgi i skończyć te moje męki. Ludzie poradzili by pójść na milicję. Tak jakby ona mogła coś poradzić. Poszliśmy. I rzeczywiście, pokiwali tylko głowami ze współczuciem i dali mi papierek, że w takim a takim dniu zostałem okradziony i w tym również przepustkę na barkę. Powiedzieli też, że na podstawie ich papierka wydadzą nam nową przepustkę. W danej chwili chyba to było najważniejsze, bo bez tego mogli mnie na barkę nie wpuścić. I chyba z tego powodu chciałem ten dla mnie przeklęty Stalingrad jak najszybciej opuścić.

Siuna pocieszał mnie jak tylko mógł. Polecieliśmy do ewakopunktu i rzeczywiście – na podstawie milicyjnego papierka wydali mi nową przepustkę. Po południu poszliśmy do portu i weszli na barkę. Dolny pokład był przepelniony. Z otwarych luków dobiegał szum jak z ula pełnego pszczoł. Początkowo ulokowaliśmy się w dziobowej części na górnym pokładzie. W dole, obok naszej barki był przycumowany nieduży statek, widocznie pasażerski. Myśleliśmy, że jak się ściemni uda nam się zeskoczyć i ukryć się w jakimś zakamarku. Nad ewentualnymi konsekwencjami w razie wykrycia żeśmy się nie zastanawiali. Pod wieczór zaczął się deszcz. Zeszliśmy pod pokład w poszukiwaniu miejsca na legowisko. Ciemno było i tylko gdzieś tam żarzyły się pojedyncze świece. Szukając miejsca, musiałem widocznie na kogoś nadebrać; ten ktoś zaklął po rosyjsku, ja mu nie zostałem dłużny tylko, że po polsku i wtedy stała się rzecz nie do wiary. Chyba drugi w tym dniu "cud" tylko że ten pierwszy (kradzież) o mały włos nie popchnął mnie do jakiegoś desperackiego kroku. Moja siostra, Henia, widocznie musiała być w pobliżu, usłyszała i poznała mój głos. Co się potem działo, trudno sobie wyobrazić. Prawdopodobieństwo takiego spotkania w tym czasie można porównać tylko do kolizji dwóch sputników w dzisiejszej erze.

O Heni nic nie wiedziałem. Ona wyjechała ze swoim mężem i jego krewnymi w zupełnie odmiennych okolicznościach. Były tam cztery kobiety – dwie Henie, Mania i Klara oraz jeden mężczyzna, Ef, mąż tej drugiej Heni i chłopak w moim wieku, przyjaciel z lat dziecińczych, Wilo, syn jednej ze szwagierek mojej Heni. Obu braci Kochów tzn. męża mojej siostry i jego brata, mąż a Mani zmobilizowano do wojska razem z bratem Mani i jej szwagrem, jeszcze w kołchozie na Ukrainie. Zostawać dłużej na Ukrainie nie mogli bo Niemcy podchodzili coraz bliżej. W wyniku opisanego wyżej spotkania utworzyła się nowa grupa złożona z ich szóstki i nas dwoje tzn. ja i Siuna; razem osiem osób.

Ile czasu płynęliśmy nie pamiętam. Wiedziałem tylko, że płyniemy do Astrachania, portu na morzu Kaspijskim gdzie Wołga wpada do morza. W międzyczasie punkt docelowy - Astrachan uległ zmianie. Wyszliśmy nas w miejscowości Władymirowka. Tam już na nas

czekały zestawy pociągów towarowych - eszałony. Powiedziano nam, że nasz nowy kierunek to Centralna (Środkowa Azja). Załadowaliśmy się do wagonów i po raz któryś z kolei zaczęliśmy się przysposabiać do nowej marszruty. Tym razem podróż miała trwać dłużej aniżeli poprzednie. Władymirówka jest częścią zimnej strefy klimatycznej. Myśmy mieli ją przejechać i później skierować się na południe, do ciepłej strefy klimatycznej.

Nim żeśmy tą zimną strefę przekroczyli, chłód i zimno dały nam się dobrze we znaki. To miała być nasza pierwsza zima po drodze do ciepła. Byliśmy do niej zupełnie nie przygotowani. Wyjechaliśmy z domu kiedy lato było w pełnym rozgarze. Nikt nie przypuszczał, że nasza tułaczka aż tyle się przeciągnie. A co kto myślał ? Że Sowietci w "try miga" rozbiją Hitlera i trzeba będzie wracać do domów ? Może byli i tacy. Widocznie w życiu bywają sytuacje niewytłumaczalne, że ludzie tumanieją, głupieją. Czy tak wyglądało też w czasie I-ej wojny światowej ? Podobno wtedy ludzie również migrowali, tyle tylko, że nie było takich szalonych, księżycowych odległości. A zresztą, kto tam wie ?

Nasz eszałon przystawał i to bardzo często; czasami na całą noc i dużą część dnia. Na niektórych przystankach można się było częściowo zaopatrzyć w produkty. Miejscowi mieszkańcy wynosili na sprzedaż wszystko, co mieli, a mieli bardzo niewiele. Biedny był ten naród i to na całej naszej trasie. Minęliśmy to co nazywało się kiedyś Autonomiczną Republiką Niemców Powołża. Pamiętam nazwę niektórych mijanych miast: Engels (stolica), Urbach, Krasnykut Tam nasz eszałon zatrzymywał się trochę dłużej, dając nam możliwość przyjrzenia się ulicom i domostwom przyległym do stacji kolejowej. Domy ziały pustkami. Wszystkich mieszkańców Niemców zdołali już przedtem wywieźć na Sybir, za Ural i jeszcze dalej. Tereny te były uznane jako strefa przyfrontowa a wszyscy mieszkańcy, Niemcy – za wrogi element.

Było coraz chłodniej. Zaczął padać śnieg. Piecyków w wagonach nie było. W naszym "towarzystwie" zaczęło się coś psuć i w końcu doszło do pełnego "rozbratu". Nie wiem na jakim tle. Mnie się wydawało, że chodziło o pieniądze. Podział był następujący: obie Henie, Ef mąż Heni starszej i ja – razem cztery osoby. Oddzielili się Mania i Klara; Wilo przystał do tych ostatnich. Dlaczego ? Przecież w naszej czwórce były jego dwie ciocie. W tej drugiej była tylko jedna cocia, Mania, taka przyczepna, bo tylko żona rodzonego wujka. Mania była typem nieporadnym, marzycielskim. Myślami zawsze była przy swoim nieobecny mężu, wujku Wila. Widocznie bardzo go musiała kochać. Czy z wzajemnością ? Nie wiem. W ich grupie "królowała" Klara żona brata Mani. Musiała chyba mieć pieniądze, bo gdzie tylko było możliwe kupowała i znosiła żarcie. Może być, że właśnie to pociągało Wila. Myśmy byli biedni jak stadko myszy kościelnych. Efowi udało się sprzedać swój zegarek kieszonkowy – tzw. cebulę. Każdy wydawany grosz był dziesięć razy oglądany przed wydaniem. Nie wiedzieliśmy przecież jak długo przyjdzie nam podróżować i kiedy w końcu dotrzemy do jakiejś trwalszej przystani. W naszej czwórce na "królową" pozowała ta starsza Henia. Moja siostra, ta młodsza Henia próbowała niekiedy stosować cichą opozycję; nic jej nie wychodziło. Ef był posłuszny swojej "królowej" i nigdy w niczym jej nie oponował; on nie to, że musiał, on naprawdę tę swoją "królową" kochał pomimo, że często dostawał od niej "opieprz". Ef był niezwykle porządnym człowiekiem. Ja to się nie liczyłem; przecież do tej wspólnoty absolutnie niczego nie wniosłem; poza tym byłem za młody ażebym miał coś do powiedzenia.

A Siuna ? Jak było z nim ? On pozostał jak gdyby pośrodku – ni tu ni tam. Mnie to bardzo bolało, ale cóż mogłem zrobić ? Siuna miał tych parę groszy jeszcze z kołchozu. Na szczęście jemu ich nie ukradli. Jeżeli nam się coś udało ugotować, nasza "królowa" zawsze o nim pamiętała. Z gruntu miała dobre serce, tylko charakter miała skwiczny, złośliwy. Czy to idzie w parze ? Kto tam może wiedzieć . U nas ona była tą która te nadzwyczaj skromne porcje dzieliła. Pod tym względem była bardzo sprawiedliwa i niczego jej nie można było zarzucić.

Siuna czuł się niedobrze, zaczął chorować, wróciły mu te stare furunkle które nie chciały się goić. Widocznie na tle awitaminozy. Kiedy dojechaliśmy do Czymkientu - duże miasto wojewódzkie w Kazachstanie – Siuna widział, że już dalej nie wytrzyma i postanowił wsiąść. Z nim razem poszła jeszcze jakaś, bardzo nieszczęsna para. Dużo lat nic o nim nie

wiedziałem. Dopiero później, po wojnie w 57-ym roku odwiedził nas w Warszawie. Okazało się, że wtedy w Czymkencie poszedł do szpitala. Tam go trochę podleczyli i posłali do jednego z okolicznych kołchozów. Stamtąd go wzięli do wojska. Wojnę przesłużył w Sowieckim Korpusie Ekspedycyjnym w Mandżurii.

Nasz eszaon kontynuował swoją marszrutę na południe. Dojechaliśmy do Dżambułu, dużego wojewódzkiego miasta w południowej części Kazachstanu. To już była ciepła strefa klimatyczna. Rzeczywiście było ciepło; ani śladu śniegu lub mrozu. Ulokowaliśmy się na skwerku, tuż przy dworcu kolejowym. Tam mieli nas rozsortować po różnych kołchpach i sowchozach (sowchoz - coś w rodzaju polskiego P.G.R.). Tam też rozstaliśmy się z Manią, Klarą i Wilem. Oni dostali przydział do jednego z sowchozów. Jak się później okazało, przydział bardzo niefortunny.